Nr. 23. Warszawa, dnia 25 Maja (6 Czerwca) 1896 r. Rok XVI.

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie**: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

***Adres: Żórawia Nr. 34.***

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** POLITYKA: Na Krecie. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Laura Marholm: Księga kobiet. (dokończenie). — ŻYCIE SPOŁECZNE: Ideały i karyera. — Wystawa hygieniczna, III, p. Zen. Piet. — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Listy z Paryża, p. W. Bugla. — BADANIA NAUKOWE: Psychologia Hoffdinga, p. Władysława Kozłowskiego. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska, p. „*„. — Skarbiec strzechy naszej, p. Z. — Notatki literackie i artystyczne. — SPRAWY EKONOMICZNE: Szkice ekonomiczne, p. K. R. Z. — W dali. — Doniesienia urzędowe — Kronika.

*Szan. Abonentów prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty.*

## POLITYKA.

### NA KRECIE.

Od wiosny starożytna wyspa cudów i mądrości greckiej jest widownią niepokojów i zaburzeń, które w maju wzbogaciły się walką plemienno-religijną, mordami i podniesieniem oręża przeciw gubernatorowi Abdullachowi-baszy w dzikością a męztwem słynącej Sfakii. Trzy tysiące Greków obległo tam wojsko tureckie w Vamos. Konsulowie ofiarowywali już swoje pośrednictwo, aby oblężonych wyzwolić, i byłoby się może skończyło na wytargowaniu jakichś drobnych choćby ustępstw, gdyby gubernator nie zdążył był jeszcze na czas przysłać odsieczy dość silnej do spędzenia Greków z gór okolicznych, czem zmusił ich i do ustąpienia z głównej pozycyi. Co w ręce jego wpadło, to już w ruchu udziału nie weźmie, ale tysiące zbrojne jeszcze się ruszają i walka w południo-zachodniej części wyspy nie odrazu stłumioną będzie. Poparcie z kontynentu, z królestwa greckiego, rozstrzygnie o jej uporczywości, większej lub mniejszej. W Atenach umysły się burzą, składki płyną.

W zimie już przygotowywano się na wyspie do wystąpienia zbrojnego; wytworzył się komitet tajemny i węzłami jednolitego związku ogarnął żywioły goręcej czujące, ruchliwsze. Sama natura fizyczna zachodniej części wyspy ułatwiała związanie się i uzbrojenie. Z zewnątrz, ze skąpych i nielicznych ognisk pracy cywilizacyjnej i życia społecznego — dochodziły zachęty w ustawicznem niezadowoleniu i wywołujących je czynach administracyi tureckiej. Po ostatnim, w r. 1869 przez Europę zdławionym ruchu Kreta, turecki Kiryd, stał się odrębnym wilajetem; zapewniło mu to pomyślniejsze warunki zarządu. Później ustanowiła Porta zgromadzenie narodowe, zobowiązała się uporządkować pobór podatków, w całem państwie tureckiem niegodziwy, przyrzekła uroczyście połowę dochodów pozostawiać na wyspie i obracać na jej własne potrzeby. Wszystko to okazało się tylko malowanką, dla zabawienia dzieci: zgromadzenie albo nie zwoływane, albo lekceważone, podatki ściągane dawną metodą, najbliższą rozbójniczej, dochody wyspy w całości przelewane do wiecznie pustego skarbu. Nawet to wojsko, które obecnie przywraca porządek, nie otrzymując żołdu, wydusza go sobie z uspokajanej ludności i srogość wojny potęguje srogością łupiestwa.

Dziecinnem jest oskarżanie Anglii przez niektóre dzienniki niemieckie o robienie sztuczne tego, co, według nich naturalnie w żaden sposób powstać nie mogło, bo nie ma dla siebie ani przyczyn, ani powodów. Wszystko, zdaniem tych przewodników opinii niemieckiej, dzieje się na wyspie tak, jak pod rządem tureckim dziać się może, przy dobrych jego chęciach, ale ograniczonych środkach i danej już organizacyi, co prawda, niewystarczającej na potrzeby dobrego zarządu. Jest to nie błąd dobrowolny, ale fałsz rozmyślny. Dziennikarze fałszują karty, aby partyę wygrać. Rzeczywiście stan wyspy jest opłakany. Za Wenecyan, przez półpiąta wieku, kraina Minosów i Tezeuszów, po nawałnicy średniowiecznej, po Bizantczykach i Arabach, kwitła tak, że ludność jej w chwili napaści tureckiej w środku XVII stulecia, obliczano na milion; wsie były ogrodami najwspanialszych roślin, dostarczających produktów swych handlowi; w miastach rozwijał się przemysł, — mydło sławne na cały Lewant; na brzegach porty pourządzane przez rząd zabiegliwy roiły się od statków. Dziś więcej ruin, niż budynków; po miastach bieda; na wsiach rośnie tylko to, co sama natura w przecudnym klimacie i niestrudzonej macierzyństwem swem ziemi wydaje; porty pozasypywano piaskiem i mułem i rzadko który przed niedbalstwem ludzkiem ocalał; podatki idą do Stambułu; ludność nie wynosi nawet 350,000 na 155 mil kwadr.; cały handel zamyka się w jakich 300,000 funt. tur. — a ludność, jeśli nie przeklina dzisiejszego swego życia, rwie się do nowego.

---

**Tydzień polityczny.** Cesarz austryacki zagaił posiedzenie delegacyi przedlitawskiej d. 1 b. m. w Peszcie. Mowa ukazała dobre stosunki z mocarstwami, nazwała uznanie ks. Ferdynanda faktem wybitnym, stwierdziła istnienie i wpływ trójprzymierza na utrzymanie *status quo* na półwyspie Bałkańskim i wyraziła zadowolenie z życzliwości rządów i narodów okazanej Węgrom z powodu tysiącolecia. Budżet tegoroczny jest znowu o kilka (4) milionów wyższy od zeszłorocznego, głównie wskutek wzrosłych potrzeb wojska.

Reformę wyborczą uchwaliła już Izba panów. Teraz potrzebuje ją tylko cesarz podpisać. P. Badeni może z nią śmiało złączyć swe nazwisko.

Rozkład lewicy niemieckiej postępuje, objawiając się mowami i naradami, w których występują przeciwieństwa i niezgodność nawet w sprawach zasadniczych. Pytają się jedni drugich: jaka powinna być rola stronnictwa, któreby prawdziwie postępowem i prawdziwie ogólno-państwowem być chciało? Zdaje się, że z fermentu wyjdzie stronnictwo przedlitawskie wolnomyślne, i zarówno centralizm jak niemiectwo w masach inteligencyi politycznej niemieckiej w Austryi osłabną. Ustosunkowanie się do anti-semityzmu obudza wątpliwość.

Margr. Rudini d. 30 z. m. z powodu nieporządków, jakich dopuścił się Crispi w ministeryum spr. wewn. — na tle budżetowem — postawił kwestyę gabinetową. Izba przyjęła prosty porządek dzienny 118 przeciwko 115 głosom, 15 wstrzymało się od głosowania. Gorsząca nieobecność przeszło połowy Izby była podobno przypadkową. Wielu nieobecnych poparłoby gabinet, gdyby nie — przypadek. Taki jest artykuł do wierzenia podany.

Menelik nie wydał jeszcze jeńców, uprowadzonych na południe. Upały, susza, brak wody w Erytrei są tak straszne, że za szczęśliwych uważać trzeba tych żołnierzy, których rząd zabierać kazał z powrotem do ojczyzny.

Francya ma zamiar przyłączyć Madagaskar jako swoją kolonię. Z Anglią będzie przeprawa. P. Hanotaux. obecny minister, za rządów Ribota, przed Bourgeois, wespół z innymi opierał się przyłączeniu: teraz ulega. Oportunistom dzisiejszym w rządzie wskazał drogę radykalizm: za niego to bowiem zamiar dokonania zupełnego podboju zaświtał w głowach. Na wyspie pełno jeszcze tu i owdzie ognisk powstania, ale o tym ruchu rząd milczy, pewny, że go wkrótce stłumi.

Otwarcie Izb po wypoczynku majowym w d. 28 z. m. nie sprowadziło jeszcze zapowiadanej burzy. Dopiero 4 b. m. ma się rozsrożyć opozycya radykalna. Jaures zainterpeluje o prefektów, których Meline pozmieniał. Inni zażądają rewizyi konstytucyi, której dopomina się aż 11 wniosków. Miasta socyalistyczne w gronie 32 delegatów wytworzyły projekt nowej organizacyi. Budzi się pretendent N. 2, książę Bonaparte, jeżeli nie Wiktor, to Ludwik. P. Meline przerabia podatek postępowy od dochodu tak gruntownie, że przeistacza go w podatek od zbytku.

W Berlinie Francya ma nowego przedstawiciela: miejsce Herbette'a zajmuje margr. de Noailles.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### IDEAŁY I KARYERA.

Ta najmniej zepsuta, najczystsza moralnie i dziewicza w swych ideałach cząstka społeczeństwa—młodzież kształcąca się, ci przyszli oracze niw społecznych, siewcy niepokalanego ziarna rojeń, marzyciele, oczekujący bujnych plonów ze swych czynów bezinteresownych, ta gromadka serc tkliwych i umysłów gorących, te głowy, spowite w obłokach purpurą świtu zabarwionych— pozostają w pamięci naszej na zawsze — idealne, piękne, wzniosłe. Kto się z niemi pożegnał, tłumiąc w sobie łzy i żal po promiennych latach koleżeństwa, kto obraz tych nieskazitelnych postaci zamknął głęboko w swojej duszy, rozstał się z niemi na zawsze i odsunął od świata wielkich interesów, gwałtownych zabiegów o byt wygodny, ten jest szczęśliwy, bo obrazu owego nic splami rzeczywistością, nie poszarpie go i nie obrzuci pogardą. Jeżeli zaś przypomną go dawni towarzysze i wezwą na biesiadę dla uczczenia jakiejś rocznicy pożegnania murów *Almae Matris*, niechaj nie jedzie, niech im prześle podziękowanie i pozdrowienie, bo dozna bólu serdecznego, jak kochanek, który po latach wielu spotyka swą ubóstwianą z obliczem bezmyślnem, nabrzmiałem od tłuszczu, sprzedającą wieprze na rynku i targującą się zapamiętale o grosz, oblany potokiem słów szorstkich.

My, skazani na pracę w wielkiem ognisku życia gorączkowego, musimy, niestety, podlegać tym katuszom moralnym, deptać ten obraz, wydarty z duszy przez nagą, dotykającą nas z blizka rzeczywistość. Musimy spotykać tych towarzyszów ławy szkolnej i widzieć takimi, jakimi ich zrobiło życie praktyczne. Zajęli oni różne stanowiska na różnych szczeblach. Z dawnych uczuć i dążeń, otoczonych aureolą świętości, zrobili sobie ścierkę do wycierania wierzchniej warstwy brudu, po którym stąpali na stopniach swej karyery. Z marzeń i troskliwie pielęgnowanych cnót młodzieńczych, z nieskazitelnych swych przekonań, którym zaprzysięgli wierność, uszyli sobie szmatę, ufarbowali ją na kolor szary i przykryli nią działalność i dążenia, ażeby unoszące się w atmosferze ich czynów pył i sadza padały na tę płachtę niedostrzegalnie.

Rozejrzyjmy się dokoła w naszych mizernych stosunkach, w naszem życiu codziennem, a znajdziemy wszędzie tę nędzotę ludzką i w palestrze i w prasie, i na synekurach, i wogóle na placówkach różnych instytucyj społecznych i finansowych. Zobaczmy tych zaprzańców giętkich i śliskich, jako kierowników opinii publicznej w dziennikarstwie. Ogół ma pamięć krótką, bo żyje wrażeniami danej chwili, ale wszelka praca pozostawia ślady i dokumenty, których wymazać i zniszczyć nie można. Gdyby jakiś figlarz zechciał wydobyć te dowody, wyznanie wiary dawnej owych działaczów na niwie spraw publicznych, ogłosić je światu i wywiesić na obecnym ich szarym sztandarze, zapisanym sofizmatami karyery, własne zdania czyste i szczere tych kameleonów społecznych byłyby dla nich dotkliwym policzkiem, a zarazem znieważeniem tych kropli rosy myślowej, która niejeden świeży liść uczuć szlachetnych mogła wypielęgnować. Dawne promienie jasne zapału wyssały wszystkie te krople i zaniosły obłokom, a tam, skąd uleciały, zostało przyschłe bagnisko z wyziewami, z rozkładem różnych odpadków i wszelakim gadem, ukrytym w rozdołach tych zabłoconych dusz hołdowników karyery. Gdy czasem mimowoli zadrga w ich jaźni struna milcząca oddawna i przyniesie wspomnienie z przeszłości, przerażeni z palcem na ustach szepcą: „Pst! to nie ja mówiłem!..“

To są ludzie bez szkieletów, których można zgiąć w pałąk, przepchnąć przez najmniejszy otwór muru skrupułów i uczciwości, wyprostować potem i posadzić około wielkiego stołu karyery, gdzie niepotrzebne są księgi do zapisywania rachunków sumienia, gdzie natomiast istnieje dla ogółu księga zażaleń, ale wiecznie zamknięta na klucz głęboko schowany. Gdy ten ogół pokrzywdzony zwraca się ze swemi roszczeniami do rozdawców takich stanowisk, odpowiadają oni: „My wiemy, że to są padalce, że umieją pełzać gdy tego wymaga potrzeba, wspinać się wysoko po pochyłościach, lub prześlizgiwać się pod stopami społeczeństwa niezdeptani,

---

3)

LAURA MARHOLM.

## KSIĘGA KOBIET.

(Dokończenie).

Hrabianka Reza jest gałązką, oderwaną od pnia międzynarodowców—tułaczów. Żyła obok ciotki w tym dziwnym stanie uśpienia, który cechuje młode dziewczęta i bywa częstszy, powiedziałabym nawet — normalniejszy, aniżeli sądzą mężczyźni lub przypominają sobie kobiety zamężne. Podobnie żyje teraz obok Marka. Tylo tylko, że nie jest *sama*; czuje obecność jego w pokojach, często przy sobie; wchłania w siebie urok sympatycznego towarzystwa męzkiego; ich obcowanie i dusza jej tak są czyste, że uścisk dłoni stanowi pomiędzy nimi rzadki wypadek. Wie wprawdzie, że Marek utrzymuje w tym samym czasie kilka stosunków miłosnych, lecz fakt ten nie dociera do tego, co jest w niej kobietą.

Trwa to poty, póki doświadczona i dość niezgrabna przyjaciółka nie pyta Rezy o termin ślubu jej z Markiem. Jednocześnie skłania tę dziewczynę, której dobrze było w bezczynnej takiej drzemce, do bywania w świecie. Tu, niewyraźny jej stosunek do Marka ściąga niedyskretne spojrzenia. Oto pierwszy bodziec. Podczas długich wieczorów zimowych, kiedy cicho siedzieć musi, ponieważ on pisze, to wspólne ich z sobą przebywanie wydaje jej się nagle miłosnem sam-na-sam i zaczyna odzywać się w niej niepokój rozbudzonej kobiety. Natomiast w większem towarzystwie Marek razi ją niedyskretnem wywlekaniem wspólnych, najszczerszych nastrojów i częstem zdradzaniem małostkowej próżności autorskiej. Ani myśli o poślubieniu jej. Stosunek ten podoba mu się takim, jakim jest. Zimnym będąc z natury, a może i wcześnie przeżytym, szuka w niej delikatnej, pobudzającej erotyki „na odległość,“ otwartego zawsze salonu, gdzie czuje się u siebie i dokąd wprowadzać może przyjaciół-artystów, w niej zaś szuka wreszcie kobiety, którą zawsze zachowa, ponieważ nigdy jej nie posiadał.

Nadchodzi wiosna. Wspólne wycieczki do okolic Paryża łączą ich jeszcze więcej. Jej nerwy drżą — staje się nazewnątrz coraz więcej powściągliwą, pragnie zbliżenia i dlatego każdej sposobności zbliżenia unika. I jemu chwilami ręka drży przy dotknięciu jej dłoni, chwilami spojrzenie jego wyraża pragnienia, nie dość jednak silne, aby trwać mogły. Ta właśnie zażyłość ich przeszkadza wytworzeniu się innej, jeszcze większej. Prócz tego on jest zanadto zajęty sobą, zanadto przywykł do zajmowania jej osobą swoją, aby zauważyć odbywającą się w niej przemianę. W niej zaś więdnie pączek miłości pod zimnem tchnieniem rosnącego wraz z pragnieniami sceptycyzmu. Chociaż niedoświadczona, posiada wszechwidzący wzrok duszy — dziedzictwo po wielu kulturalnych pokoleniach — i wzrokiem tym nawskroś go przegląda. Tak tedy mężczyzna, którego miłości pragnie, jest jej jednocześnie antypatyczny, pogardy godny, niemal śmieszny. Lecz trzyma go się. Naokoło siebie ma pustkę, sieroctwo, samotność i ludzi obcych. On jeden należy do niej i przynależnym się do niej czuje. Ta zaś wzajemna ich przynależność obrzydza jej znowu wspólne z nim przebywanie. Ilekrotnie więc on z przyjaciółmi-literatami urządza w jej salonie odczyty, ona podczas estetycznej gaduniny takiego doznaje wstrętu, że chciałaby uciekać.

Pewnego razu traci równowagę. W czasie gdy zebrane u niej kółko rozbiera jakiś poemat Marka, ona ześlizguje się po schodach i idzie w ciemną noc. Nie wie, co czyni. Tętna jej biją jakby w gorączce, struna zaczyna się przeciągać. Idzie ulicą w kierunku Pól Elizejskich: nagle spostrzega zmierzającego ku niej mężczyznę. Wśród pustej zupełnie ulicy ogarnia ją niezmierny strach. Chciałaby się ukryć, traci głowę i wsiada do pierwszej lepszej dorożki. Woźnica pyta: dokąd? ponieważ zaś ona nie wie dokąd jechać, zmuszoną jest wysłuchać grubjaństw. W tejże chwili ów nieznajomy ukazuje się przy drzwiczkach

że gdy staną im na drodze prawi i nieugięci, oni potrafią ich obryzgać własną śliną plugawą i gryzącą; my to wszystko wiemy—ale tacy właśnie ludzie są nam potrzebni!.." W myśli zaś dodają: „My ich zrobiliśmy takimi — dla własnego interesu. My wypielęgnowaliśmy w ich duszy zielsko, zagłuszające owe ideały, w młodzieńczych latach wypieszczone. My ich prowadzimy przez kanały spraw naszych. I chociaż oni nurzają się tam po szyję w nieczystościach, nie są wszakże podobni do bohatera Wiktora Hugo, bo wychodząc z podziemi naszego szwindlu, zamiast towarzysza omdlałego mają na głowie nasz i swój własny interes i są pewni, że nie ujrzą przed sobą nikogo, ktoby ich zatrzymał... Obmyci i przebrani w świeżą odzież dla świata, staną śród szanowanych i zasłużonych, a gdy rękę na powitanie wyciągną, nikt im nie cofnie swojej...

Wkrótce za parę tygodni przybędą społeczeństwu nowe gromadki, gotowe do zetknięcia się z życiem praktycznem. Tym kandydatom do pracy produkcyjnej we wszelkich zawodach ślemy najszczersze życzenie: Oby nie stali się „potrzebnymi," lecz po długiem, owocnem życiu mogli śmiało spojrzeć w oczy społeczeństwu i powiedzieć mu: byliśmy i jesteśmy uczciwi!..

# WYSTAWA HYGIENICZNA.

## III.

Pan Henryk Kotłubaj opracował i urządził dział weterynaryjny, który, pomimo że na wystawie skromny kącik zajmuje (w grupie okazów hygieny prowincyonalnej), jest jednym z bardzo ważnych czynników zdrowotności powszechnej. Wyborne odlewy woskowe dają dokładną podobiznę rożnych gatunków mięsa, zdrowego i zepsutego, nowotworów i wszelkich objawów chorobliwych. Jeżeli kiedy powstaną w naszych miastach szkoły kucharek, to takie podobizny powinny być nieodłącznym szczegółem programu, podstawą do nauki poglądowej w zakresie elementarnych wiadomości weterynaryjnych. Niezbędne są one i dla gospodyń, szczególnie na wsi i w małych miasteczkach, gdzie handel mięsny odbywa się często bez kontroli i pozostaje w rękach przekupniów wędrownych. W osobnych tablicach i rysunkach p. Kotłubaj wykazał stopień strawności mięsa, procentowy skład włókna i tłuszczu z rozmaitych części tuszy bydlęcia, procentowy stosunek ważniejszych składników pokarmowych w rozmaitych rodzajach mięsa, klasyfikacyę mięsa uznaną i praktykowaną w Warszawie, Petersburgu, Londynie, Paryżu i Wiedniu. Przedstawił wreszcie solitera i jego przemiany, tudzież trychiny i ich rozwój w organizmie. P. Kotłubaj jest u nas jedynym gruntownie wykształconym weterynarzem, który śledzi wszelki postęp w tej dziedzinie, nie ustaje w pracy zarówno teoretycznej, jak i praktycznej, i swojemi wiadomościami dzieli się z ogółem. Jego „Weterynarya gospodarska" (r. 1894, str. 820) należy niewątpliwie do najlepszych podręczników. Ale obok tego niezbędne są wskazówki przystępne dla gospodyń. To, co widzimy na wystawie, jest częścią materyału do takiej pracy, którą należałoby podjąć dla zdrowia powszechnego.

Osobny, dość obszerny pawilon oddano dziedzinie wychowawczej, której się należy szczególna uwaga. Nagromadzono tam dużo okazów i wzorów, ale wogóle uważnego widza uderza chaotyczność i dorywczość. Mamy wprawdzie wychowanie fizyczne od niemowlęctwa do okresu młodzieńczego, umysłowe zaś od kilku do kilkunastu lat wieku. Ale tu spostrzegamy jednostronność: wychowanie i naukę przeważnie dziewcząt. Wzięło udział zaledwie parę pensyi żeńskich, niema zaś wcale zakładów naukowych męzkich, ani ogólnie kształcących, ani specyalnych, a przecież nawet śród szkół prywatnych mamy takie, które jako wzór urządzenia hygienicznego mogłyby zająć wybitne miejsce. Bardzo ładnie wyglądają ławki i katedra pensyi p. Rudzkiej, przedmioty zaś służące do obrazowego wykładu anatomii człowieka, zoologii, tudzież botaniki, są dość bogate i świadczą, że zakład ten dba chociaż o powierzchowne wykształcenie przyrodnicze. Na pochwałę zasługują również mapy zwyczajne i wypukłe, oraz zbiory mineralogiczne, zielniki, pudełko do hodowli gąsienic, przyrząd do badania życia mrówek, kolekcya owadów szkodliwych, stanowiące bogactwo pensyi p. Porazińskiej. Ale to wszystko daje zaledwie drobny przyczynek do charakterystyki szkolnictwa, nie daje zaś najmniejszego pojęcia o hygienie szkolnej. Nie mamy natomiast obliczenia zawartości powietrza w klasie podczas wykładu, ani ilości światła, nie widzimy żadnych przykładów, wykazujących o ile program nauk i rozkład lekcyj są w zgodzie z warunkami zdrowia uczenic. Nie mamy tego wszystkiego na wystawie, bo, powiedzmy szczerze, dane takie nie byłyby wzorem doskonałości. Znaczna większość naszych zakładów naukowych średnich mieści się w lokalach zwyczajnych, przeznaczonych na mieszkania prywatne. Rzadko można je choć trochę przerobić stosownie do potrzeb uczelni. Z prywatnych w Warszawie jedyna szkoła Górskiego posiada własny gmach, zbudowany według wszelkich wymagań hygieny, obecnie zaś powstaje specyalny budynek dla nowej szkoły mechaniczno-technicznej Mittego. Oba te zakłady należało zaprosić do udziału w wystawie.

Z charakterystyki stanu zdrowia i warunków hygienicznych młodzieży uczącej się, znaleźliśmy jedynie bardzo cenne i ciekawe owoce pracy d-ra W. Kosmowskiego, mianowicie: badania rozwoju fizycznego dzieci; procent uczniów ze skrzywieniem kolumny kręgowej śród wychowańców 24 średnich zakładów prywatnych w Warszawie i innych większych miastach Królestwa Polskiego, wreszcie procent nieprawidłowy bystrości wzroku śród dziatwy i młodzieży tych zakładów. Szkoda wszakże, iż obok danych, dotyczących wzroku i zboczeń kolumny kręgowej, nie znaleźliśmy wykazu przyczyn. Wiadomo, iż oprócz złego oświetlenia i wadliwych ławek, ważną rolę odgrywa pochyłe pisanie. Za granicą system pisma pionowego coraz bardziej wchodzi w użycie, w wielu szkołach postawiono je jako jeden z ważnych warunków zdrowia.

---

kach powozu. Jest to Imre Borogh, przyjaciel Marka, który wybierał się był właśnie do niej z wizytą. I jemu powiedzieć nie może, dokąd chce jechać, tak jest atoli zadowoloną z niespodzianej opieki znajomego, że pozwala mu usiąść z sobą. Jadą tedy i jadą. Ona czuje, że sytuacya ta zniesławia ją, jest jednak do tego stopnia ogłuszoną, że jej nie przerywa. On ocenia położenie sposobem młodego, zmysłowego człowieka. W końcu *on* rozkazuje stanąć. Przed kawiarnią. Wnosi ją tam niemal, nawpół nieprzytomną. I naprężenie, w jakiem żyła od tylu miesięcy, kończy się gorzej, aniżeli skończyćby się mogło z Markiem...

Do domu wraca bardzo spokojna. Przygląda się, jak tylokrotnie dawniej, portretowi Marka i własnemu odbiciu w zwierciadle. Wreszcie portret Marka odtrąca. Pali jego listy i pamiątki, które ma od niego. Przejmuje ją dreszcz wstrętu... Przerzucając szuflady napotyka rewolwer. I to przypadkowe dotknięcie narzędzia, wywołuje w duszy jej pewien odruch...

Podczas uroczystego obchodu pogrzebowego Marek był bardzo spokojny. Zachował ją długo w pamięci, jako siostrę po duchu.

Nigdzie autorka nie sili się na portretowania mężczyzn. Kreśli tylko wrażenie, jakie na niej czynili. Czytelnik widzi mężczyzn przez szkło jej duszy. Jest to nietylko przejaw niezwykłego, artystycznego taktu, lecz jest to zarazem wytyczna dla nowej drogi, na którą wchodzi twórczość niewieścia. Kobieta, jako najsubjektywniejsza w świecie istota, dać może tylko siebie, objawienie własnego „ja," jest to też największa, najbardziej wartościowa stawka, jaką do literatury włożyć zdoła. Dotychczas piśmiennictwo kobiet było dużą, pośrednią lub bezpośrednią nieuczciwością. Było to bowiem piśmiennictwo *nijakie*, graniczące ze śmiesznością w tem swojem przystosowywaniu się do wzorów męzkich pod względem formy i treści. To, co dziś występować zaczyna, jest uczuciem osobowości w kobiecie, które przejawia się też w szukaniu form estetycznych nowych, w zarzucaniu zaś — starych. Na podstawie tego oto uczucia stworzyła Mrs. Egerton błyskotliwe swoje, niespokojne nowele, potępione przez konserwatywną krytykę angielską, a rozchwytywane przez publiczność; na podstawie tegoż uczucia autorka austryacka wysnuła opowieść, która działa, jak stłumiona surdynką pieśń marzyciela. Obie te książki są to dzieła uczciwe. Im subjektywniej kobieta odczuwa swoją istotę niewieścią, tem uczciwiej mówić o sobie będzie. Uczciwość bowiem jest tylko synonimem dumy.

Zbliża się coś, co wreszcie nadejść musiało. To — intensywne, bolesne poczucie własnej jaźni w kobiecie. Poczucia tego nie miały ani matki, ani babki nasze. Były może wśród nich indywidualności silniejsze, które — mimo wszelkich zapór zewnętrznych — brutalniej przejawiały żywotne pragnienia. Lecz tego poczucia jaźni tamte nie miały. Jest to zupełnie co innego.

Obie kobiety, których twórczość przedstawiłam powyżej, nie są pisarkami z zawodu. Pisanie książek, rozgłos — to najobojętniejsze dla nich w świecie rzeczy. Jedna z nich nigdy już chyba nie napisze książki, druga pisać może będzie pod przymusem stosunków zewnętrznych, nigdy atoli nie odczuje już rozkoszy wyładowania się, jakiej doznawała, tworząc pierwsze dzieło. Obie, *nie ucząc* się, *umiały* pisać odrazu. Wszystkie dotychczasowe autorki kształciły się do tego zawodu, lub też wychowane były do niego przez mężczyzn. Wszystkie rozpoczynały z celem, atoli prawie bez treści. Treść pojawiała się zwolna, z biegiem czasu i napływała z zewnątrz.

Te zaś dwie kobiety nie mają żadnego celu. Nie chcą opisywać. Nie chcą nauczać. Nie chcą niczego naprawiać, ani bronić. Dają tylko siebie, własną treść swoją. Mają bowiem treść w sobie. I nie siadły z zamiarem spisania tej treści. *Sama się napisała.* Działały impulsywnie, o chceniu lub niechceniu mowy być nie mogło. Musiały. I gdy przyszła ta chwila, wszelkie względy i zamiary odskoczyły od nich. Wtedy nic już o sobie nie wiedziały. Wybuchające poczucie jaźni przygłuszyło zwykłą świadomość. Treść strzeliła z nich

U nas ta nowa metoda zaledwie jest tolerowaną. To też pochwała należy się p. Unszlichtównie, że za pośrednictwem wystawy hygienicznej postanowiła zapoznać szerszy ogół z metodą pisania prostopadłego. Nadto podała tablice, które wykazują procent dzieci, pochylających głowę lub ramiona na prawo i stopnie tego pochylenia. Na mocy obliczeń przekonano się, że zboczenie na lewo jest częstsze wogóle niż na prawo i że różnica co do częstości i stopnia tych dwu wykroczeń po za prawidłowe położenie są większe u piszących pochyło. Badania Seggela i Oellera wykazują znaczny procent krótkowidzów (po wyłączeniu chorych na oczy), śród piszących pochyło; metoda pionowa daje ich mniej. Dość przejrzeć uważnie te cyfry, ażeby się przekonać o pożytku i donioślości nowej metody. Z wzorów pisma widzimy, że może być ono i wyraźne i estetyczne.

Przedszkolny okres wychowania jest rozproszony na wystawie w różnych miejscach. Trzeba dopiero zbierać szczegóły pojedynczo i grupować. Na pierwszym planie mamy wzorowy pokój dla niemowląt, w którym nie zapomniano o najdrobniejszym szczególe, potrzebnym dla dziecka, ale po materace hygieniczne, najpraktyczniejsze, i poduszki musimy iść do osobnego pawilonu. Z przyrządami i metodą żywienia niemowląt mlekiem krowiem zapoznajemy się w innym kącie, wreszcie osobno także w innem miejscu napotykamy sposoby przewiązywania pępowiny. Dział ten jest bardzo pouczający i pożyteczny dla matek, przedstawia bowiem poglądowo rożne metody przewiązywania, opatrunków i antyseptyki, nadto daje szczegółowe przepisy, łatwe do zapamiętania, a niezbędne w stosowaniu elementarnych zasad hygieny.

Daremnie jednak szukaliśmy apteczki dziecięcej i przepisów, z których można byłoby korzystać w razie cierpień, łatwych do rozpoznania dla nie-lekarzy. Nie znaleźliśmy również wzoru ogródków miejskich dla niemowląt i małych dzieci, tudzież ochronek dziennych dla dziatwy, zostawianej przez rodziców ubogich podczas pracy, pomimo że już posiadamy jeden taki zakład. Nie postarano się wreszcie o scharakteryzowanie rzeczywistych warunków wychowania i pielęgnowania niemowląt śród warstw ubogich ludności miejskiej i wiejskiej.

Przedstawicielkami wychowania metodą Froebla na wystawie są panny Kellerówny i Ludwika Jabłkowska. Pierwsza wystawiła wyroby z gliny (według modelów p. Cieszkowskiej), ujawniające nietylko zdolności, ale nawet pewne poczucie smaku. Nadto, obok różnych drobiazgów z papieru i drzewa, znajdujemy w tej grupie pokój wzorowy, z całkowitem hygienicznem umeblowaniem dla dzieci od lat 2 do 7. Okazy, wystawione przez p. Jabłkowską, również dowodzą, że dziatwa nie próżnuje, że zadawane jej roboty rozsnuwają i utrwalają w umysłach dziecięcych obrazy przyrody. Ci mali robotnicy umieją nietylko wykonać chatę wiejską w zimie, ale także otoczyć ją martwą, surową przyrodą, dać pole i drzewa zaśnieżone. Wogóle widzimy, że metoda Froebla przynosi u nas płodne i pożyteczne rezultaty.

W pokrewieństwie i w blizkim z nią sąsiedztwie są zabawy dla dzieci, na wystawie zorganizowane i kierowane przez pp. M. Nowińską i A. Szyc. Ciekawi mogą się przyjrzeć nietylko przedmiotom owych zabaw, ale także ich przebiegowi, tudzież metodom, rozwijającym umysł i charakter. W dziale tym są również modele do nauki zręczności — warsztacik stolarski i wiele innych przedmiotów.

Towarzystwo dobroczynności zajęło sporo miejsca w pawilonie wychowawczym, wystawiło wyroby ochronek, szwalni i zakładu poprawczego dla dziewcząt w Puszczy. Ze statystyki umieszczono diagramy średniej miesięcznej chorych i zmarłych wychowańców zakładu ks. Baudouina przy szpitalu Dzieciątka Jezus za lat 10 (1886—1895), ułożone przez d-ra S. Kamieńskiego. Model kolonij letnich dla słabowitych dzieci w majątku Leszno (fundacya małż. Bersonów) i trochę danych o tej instytucyi zaokrąglają działalność filantropijną.

Przeglądamy wszystkie szczegóły i widzimy jeszcze w dalszym ciągu — braki: niema chederów żydowskich, pomimo że stanowią one ważny rys do zobrazowania stanu zdrowotności społecznej. Niema warsztatów szkół rzemieślniczych i wogóle fachowych; dopiero po długich poszukiwaniach znajdujemy, w innym pawilonie — jedyne warsztaty dla nauki rzemiosł warszawskiej gminy starozakonnych.

Psychologia, niezmiernie ważny warunek w wychowaniu dziatwy i młodzieży, nie znalazła należytego miejsca na wystawie, z wyjątkiem kilkudziesięciu schematów, opracowanych przez d-ra E. Korniłowicza. Zawierają one: mechanizm woli, wiodącej do celu dalszego, mechanizm siły, wyzwalającej wolę, powstawanie woli u dzieci, mechanizm dowolnej mowy, woli, uwagi, rozwagi, woli hamującej i woli egoisty, altrusty itd. Żałujemy, że na rozstrząsanie tego przedmiotu brak nam miejsca obecnie.

Fizyologia — również ważny czynnik w wychowaniu — nie doznała zaszczytu przyjęcia na wystawę, pomimo że ją urządzali lekarze. Trochę tej gałęzi nauki przemycał dr. W. Ołtuszowski w hygienie mowy, której całą doniosłość scharakteryzował w rysunkach, tablicach i opisach. Warto, ażeby wszyscy rodzice i wychowawcy zapamiętali prawidła hygieny szkolnej, podane przez jedynego u nas badacza powyższej dziedziny: 1) Dzieci powinny nauczyć się najpierw dobrze mówić i rozumieć mowę, a dopiero później czytać. Przy czytaniu trzeba zwracać baczną uwagę na świadome następowanie po sobie głosek i sylab, przyczem — stosownie do zasad fizyologii — samogłoski powinny być silniej akcentowane, aniżeli spółgłoski. Nauczyciele w szkołach powinni sami przedstawiać dobry wzór mowy oraz mówić wyraźnie i powoli. 2) Trzeba pilnie przestrzegać, aby nie naśladowano jąkających się. 3) Najlepiej dzieci z tem zboczeniem nie posyłać do szkół, gdyż mogą one zarazić innych. 4) Nie przeciążać dzieci zbytnią pracą umysłową, wpływającą na osłabienie i rozdrażnienie systemu nerwowego. 5) Rozwijać narządy oddechu, głosu i czytania za pomocą gimnastyki i odpowiedniego czytania i deklamowania.

P. Helena Kuczalska, która pierwsza u nas zachęciła kobiety i dziatwę niewieścią do racyonalnej gimnastyki szwedzkiej, urządziła w pawilonie wychowawczym salę gimnastyczną, gdzie się odbywają lekcye z pannami dorosłemi i dziećmi, nadto zabawy, również w formie ćwiczeń cielesnych — na świeżem powietrzu. Jest to wyborna zachęta — żywym

---

i tejże chwili skrystalizowała się w formę, zrazu już artystycznie ukształtowaną. Obie te kobiety od pierwszego poruszenia piórem posiadały styl wybitny, skończony. Nie nauczyły się tej sztuki. Miały ją w sobie.

Jest to nietylko nowa faza twórczości kobiecej, lecz i nowa faza bytu kobiecego. Dotychczas wszystkie wielkie pisarki, wszystkie nawet wybitne kobiety były „silnymi duchami,“ lub usiłowały być nimi. I to było przystosowywaniem się. Starały się dotrzymać kroku mężczyznom. Chciały rozumieć jego idee, interesy, spekulacye. Gdy przyszła moda filozofowania, wszystkie wielkie autorki i kobiety inteligentne filozofowały. Ponieważ Goethe był mędrcem w sztuce życia, Rahel tryskała mądrością życiową. George Elliot filozofowała i moralizowała we wszystkich swoich dziełach w tonie Stuarta Milla i Spencera. George Sand była zbiornikiem przeróżnych idej męzkich, które wysypywała z siebie następnie w powieściach. Poczciwa Ebner-Eschenbach pisze tak rozumnie, z taką tolerancyą i jasnością, jak czcigodny starszy jegomość. Pani Leffler-Cajanello wybierała tematy swoje stosownie do wiatru, który powiał w zdecydowanych, wybitnych obozach męzkich. Żadna z tych kobiet nie dostarczyła szczególnego przyczynku do psychologii niewieściej. Mężczyźni mieli trochę słuszności, twierdząc, że kobiety piszące są tylko nawpół kobietami. [illegible]

To zaś były najlepsze. Inne nie należą do literatury. Robiły literaturę tak, jak się robi pończochy.

Mrs Egerton i „Dyletantka“ nie są bynajmniej „silnymi duchami.“ Ani im w myśli powstało być nimi.

Ambicya ich nie polega na chęci dotrzymania mężczyznom kroku. Wszystko, co odnosi się do spekulacyj mężczyzn, do ich idej, teoryj i filozofii, bynajmniej nie wydaje im się tak wielkiem. W stosunku do „ducha“ są sceptyczne. Lecz umieją *odczuć* mężczyznę.

Odczuwają jego duszę, jego najwewnętrzniejsze *ja*, gdy je posiada. Odczuwają też wyraźnie, gdy go *nie* posiada. Te wszystkie inne kobiety o wielkich nazwiskach takie są w porównaniu z niemi przykro gruboskórne. Pojmowały od biedy rozumem, te zaś odczuwają nerwami. Jest to zupełnie inaczej subtelny sposób pojmowania.

Rozumieją mężczyznę, odczuwając go jako przeciwieństwo, jako coś zupełnie od nich różnego. Pojmują go za pomocą wrażliwości swojej. Jedna jest dzieckiem zbyt wysokiej kultury, druga ma zbyt wrażliwy system nerwowy, aby módz na chwilę bodaj przypuścić równość mężczyzny i kobiety. Obie śmieją się z tego pomysłu. Czują na to zbyt wyraźnie swoją zróżniczkowaną, wyrafinowaną, wrażliwą kobiecość. Cały obecny prąd, dążący ku zdemokratyzowaniu kobiety, ku zniwelowaniu przeciwieństw, ku zaprowadzeniu równości, nie istnieje dla nich. Żyją własnem życiem. Nie znajdują zaspokojenia, mają wokoło siebie pustkę, za sobą cały szereg rozczarowań: trudno! Lecz w kompromisy nie wejdą, na połowiczność nie przystaną. Wysoko rozwinięte ich nerwy, zbyt pewnym są miernikiem wartości. Jest to nowy gatunek kobiet więcej zrezygnowanych, więcej znużonych i subtelniejszych, niż — dawne. Są to kobiety takie, jakich pragną nowi mężczyźni, różniący się od dawnych wysubtelnioną zdolnością odczuwania rozkoszy i więcej uduchowioną zmysłowością. Na siebie kobiety te wzajem spoglądają wiedzącem spojrzeniem i rozumieją się bez spowiedzi. I czują dla siebie wzajemnie rozbudzonymi, rozedrganymi nerwami, jak nigdy jeszcze kobieta dla kobiety nie czuła. I idą przez życie, nie snując planów na przyszłość i zamków na lodzie nie budując — żyją z dnia na dzień i dalej, niż po za dzień następny, myślą nie sięgają. Powiedziećby można, że czekają; lecz każdy dzień nowy pyłem zasypuje delikatne ich nerwy, pod tem zaś niepostrzeżenie rosnącem brzemieniem wysiłek czekania zbyt staje się męczącym.

przykładem, do naprawy nadwątlonych organizmów, usposobionych do blednicy i wszelkich chorób nerwowych. Trzeba wiedzieć, jak u nas opornie idzie tego rodzaju propaganda, jak praca i warunki bytu w warstwach ubogich, a sposób wychowania w sferach próżniaczych szerzą skarłowacenie, niedołęztwo fizyczne i zarazem duchowe — żeby ocenić należycie te zabiegi około obrony przed niemocą powszechną. P. Kuczalska odbyła studya specyalne w Szwecyi i na podstawach doświadczenia rozpoczęła pracę w kraju. Dotąd wprawdzie używa jeszcze do pomocy Szwedki, ale już wkrótce posługiwanie się siłami obcemi będzie zbyteczne wobec dobrze uzdolnionych specyalistek miejscowych. Dziś owa pionierka ćwiczeń cielesnych i gimnastyki leczniczej zjednywa, acz powoli, coraz więcej zwolenników, a jednocześnie stara się usunąć znamienną wadę w sferach ukształconych: dzieci pod wiecznym rygorem konwenansu i wadliwego wychowania, nie umieją bawić się, nie znają swobody i, że tak powiem, szczerości ruchów, tj. tego wszystkiego, co nie pozwala rozwijać się obłudzie i kłamstwu, co tępi w zarodku pierwiastki egoizmu i przewrotności. Otóż zadaniem rozrywek i ćwiczeń takich jest: rozpętać z bezmyślnych i okrutnych przepisów salonowych ową dziatwę nieszczęśliwą, zbliżyć ją za pomocą rozumnej zabawy, dać jej to życie i szczerość, z których tworzą się mocne i czyste charaktery.

Oto i wszystko, cośmy potrafili dopatrzyć i uznali za godne uwagi na wystawie hygienicznej. Pozostają jeszcze bardzo ważne działy: bakteryologiczny, szpitalny i chemiczno-fizyczny, z których osobno zda sprawę specyalista. Na zakończenie tego przeglądu nadmienię, że wystawa, pomimo wielkich braków, posiada takie działy i rzeczy, z których istotną korzyść odnieść można, że samo skupienie tych strzępów obrazu hygieny rzeczywistej i idealnej, może a przynajmniej powinno dodać bodźca społeczeństwu do wspólnej pracy około naprawy warunków zdrowia powszechnego.

*Zen. Piet.*

# LIBERUM VETO.

Powieści biograficzne. — Czy Mickiewicz improwizował? — Zacieranie prawdy kłamstwem. — Nastrój poetów romantycznych. — Zmysł społeczny. — Przyrosłe i przypinane skrzydła. — Talenty sfilistrzałe. — Atmosfera gór i atmosfera dolin.

Nasza literatura biograficzna jest — nielicznymi wyjątkami — jednem wielkiem kłamstwem. Niema w niej ścisłości, szczerości i prawdy. Autorowie życiorysów albo nie zadają sobie trudu zebrania materyału wiarogodnego i ssą z palca bajki, albo też gwałcą fakty dla nadania swym bohaterom sztucznej wielkości. Im się zdaje, że Pola lub Syrokomlę można tak przykrawać i ubierać, jak zmyślone postacie powieści. To też nie wiem, czy w całem naszem piśmiennictwie jest dziesięciu znakomitych ludzi, których byśmy dokładnie znali w ich osobach. Reszta jest osnuta kokonami legend, zmyśleń i plotek. A wątpliwość pokrywa nietylko drobiazgi, ale i rzeczy ważne. Tak np biografowie poetów naszych, a zwłaszcza Mickiewicza, mówią ciągle o „wpadaniu w natchnienie" i „improwizacyach." Fakt ten miałby dla psychologii wielką wagę, gdyby był podany rzetelnie. Niestety, spoczywa na niem ciągle podejrzenie, uzasadnione dowiedzioną niewiarogodnością jego świadków i brakiem odpowiednich potwierdzeń w teraźniejszości. Znamy poetów bardzo utalentowanych, posiadających nadzwyczajną łatwość wierszowania; nikt z nas jednakże nie widział, ażeby którykolwiek z nich mógł istotnie bez żadnego przygotowania improwizować przez godzinę na tematy wysokiej miary. Czy Mickiewicz lub Słowacki obdarzeni byli rzeczywiście ową niemal nadprzyrodzoną zdolnością? Ich biografowie upewniają nas o tem uroczyście; jak tu wszakże uwierzyć takiemu Odyńcowi, kiedy go się setki razy łapie na zmyśleniu i przesadzie, kiedy on nie mogąc przedstawić i pojąć w Mickiewiczu wielkiego człowieka, pragnie go uczynić pół bogiem? Ostatecznie po przeczytaniu każdej prawie biografii genialnego pisarza mówimy sobie: ciekawa rzecz, jakim on też był w rzeczywistości...

A jest to niewątpliwie rzecz bardzo ciekawa. Nie sądźcie zaś, ażebym upominając się o prawdę w życiorysach, chciał w nich widzieć nieosłonięte nagość i zdradzone tajemnice. Bynajmniej, chodzi mi o coś lepszego. Szablon, który mianując każdego i każdą „czcigodnym obywatelem," „kochającym ojcem i mężem," „poświęcającym się przyjacielem," „zacną matroną," „opiekunką maluczkich" itd., wraz z przeciwnemi tym cnotom wadami zaciera w charakterach ludzkich mnóstwo przymiotów rzadkich a cennych. O jeden z nich właśnie dziś się upominam.

Ogłoszone lub publicznie zużytkowane w ostatnich czasach listy znakomitych poetów naszych z okresu Mickiewiczowskiego ukazują nam w nich pewien rys, który wydaje się prawdziwym, a jest bardzo pięknym. Mianowicie ludzie ci mieli w całem swem życiu daleko wyższy nastrój, niż najznakomitsi przedstawiciele pokoleń obecnych. Ci ostatni mogą im nieraz nawet dorównywać talentem, ale nie dorównywają im podniosłością ducha. Pomijam towianizm, który będąc obłędem, był według mnie najwspanialszym obłędem w dziejach literatury powszechnej; lecz najpoufniejsza korespondencya między przyjaciółmi, którzy nigdy nie przypuszczali, że ona kiedykolwiek będzie drukowaną, ukazuje nam ludzi szczególnych, mających ciągle myśl zwróconą ku sprawom powszechnym. Ich dusze nie są w tych zwierzeniach maleńkiemi zwierciadełkami, w których odbijają się tylko ich własne osoby, lecz ogromnemi i głębokiemi jeziorami, w których odbija się cały firmament. Nawet wtedy, kiedy sobie donoszą o drobiazgach życia, o codziennych kłopotach i radościach, o szczęśliwych i nieszczęśliwych wypadkach losu, zawsze w szarą przędzę zwyczajności wplatają złote nici myśli i uczuć ogólnych. Posiadają oni ciągle czynny, czujny i wrażliwy zmysł społeczny, który im ani na chwilę nie pozwala zatopić wszechświata w swojem „ja." Nieraz majaczą, sentymentalizują, grają rolę mesyaszów, apostołów i poprawiaczów stworzenia, zasłaniają sobie oczy i zatykają uszy na rzeczywistość, zastępując ją wytworami fantazyi, ale nawet w ich najcudaczniejszych urojeniach świeci piękna gwiazda ideału. Kiedy najbardziej błądzą i mylą się, nie przestają być marzycielami czcigodnymi. Niemal z każdego ich listu widzisz, że to są ludzie niezwyczajni, tylko jakąś cząstką swej natury przyczepieni do powszedniości: stopy mają oparte na ziemi, ale głowy w chmurach. Muszą jeść, odziewać się, zarabiać na chleb i zaciągać długi, jak pospolici śmiertelnicy; ta troska wszakże nie wypełnia całego ich życia nawet po za działalnością na widowni publicznej. Pracują nad oświeceniem, uszlachetnieniem i zbawieniem rodu człowieczego jako powołani do tej misyi, obdarzeni osobną łaską i mocą zesłańcy nieba, a nie jako urzędnicy w kancelaryach sztuki, dobra społecznego i moralności, nie jako rzemieślnicy, wyrabiający modne surduty i kapelusze dla ducha ludzkiego, nie jako fabrykanci smacznych dla niego używek. Oni nie trudzą się według miary potrzeb swego żołądka, przy pracy nie ziewają i nie złorzeczą jej, z serc ich bucha niegasnący zapał, który płomieniami obejmuje ciągle przedmioty swej miłości.

My nie jesteśmy tacy i następne pokolenia albo nie ogłoszą wcale korespondencyj dzisiejszych swych mistrzów, albo ogłosiwszy dziwić się będą, jak dalece ich dusze w życiu codziennem były okurzone pyłem powszedniości. Poeta romantyczny był ptakiem, był orłem przebywającym na skałach i bujającym w podniebiu lub jaskółką nieumiejącą chodzić po ziemi i krążącą ustawicznie nad nią; poeta tegoczesny posiada również skrzydła, ale przypinane: gdy potrzebuje wznieść się, przyczepia je, spadłszy na ziemię — odejmuje i chodzi jako bezlotek. Talent jest to siła żywa, która zależnie od warunków rozwoju i działania może zmieniać swoją naturę i natężenie. Gdyby Mickiewicz był dziś między nami, pisałby również piękne utwory, ale nie piastowałby w sobie żadnego kapłaństwa: uczęszczałby na rauty i bale, rozprawiałby szeroko o wpływie rowerów na zdrowie ludzkie, grałby w winta i totalizatora, spotykałby się w jakiejś knajpie z przyjaciółmi i zjadłby z nimi codzienną porcyę plotek. Bo do takiego życia usposabia, niemal zmusza „literacko-artystyczna" atmosfera Warszawy. Nie wiem, jak tę atmosferę odmalują potomnym pamiętnikarze; wątpię jednak, ażeby oni w niej odnaleźli jakieś źródła daleko sięgających prądów, jakieś pierwiastki przyszłości, coś, co w historyi wszystkich oświeconych społeczeństw i naszego stanowi znamienne wyrazy osobnej epoki. Literaci i artyści warszawscy oddychają tem samem powietrzem, co filistrzy najpospolitszego gatunku, niczem się od nich nie różnią — ani stosunkami, ani upodobaniami, ani zwyczajnym biegiem myśli. W tym płytkim potoku nurzają się nawet najlepsi z nich. To też nieraz dziwić się trzeba, jakim sposobem oni — o ile nie usunęli się w samotność lub obczyznę, mogą ocalić swe umysły od zupełnego wyjałowienia, jakim sposobem zdołają wznosić się z duszącej niziny w wyższe kręgi myślenia i czucia. Ileż to razy słyszymy czyjeś zdziwienie po poznaniu jakiegoś bohatera literatury: całkiem inaczej go sobie wyobrażałem — nigdy bym się nie domyślił. I czy może się domyśleć mieszkaniec odległego zakątka, wierzący, że na ziemi rzeczywiście istnieje Parnas i oblubieńcy muz, że każdy autor jest kandydatem do księgi Plutarcha? Przystąpiwszy z czcią do tych „nadludzi," przekonywa się, że jeden z nich przyznaje sobie talent rozpoznawania win „z zamkniętemi oczami," drugi — „przegrałby z dyabłem duszę w winta," trzeci — „wynalazł" najsmaczniejszą zakąskę po wódce, czwarty — umie wyliczyć wszystkich kochanków ładnej aktorki, piąty — przesiaduje w stajni koni wyścigowych, szósty — gra na giełdzie itd.

Co tego rodzaju ludzie po za interesami i nowinami mają pisać w swych listach do przyjaciół? Oni nawet tych przyjaciół w swojej sferze nie mają. O takich serdecznych, ścisłych i trwałych związkach dusz bratnich, o jakich dowiadujemy się z korespondencyi Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Zaleskiego, w naszych czasach nikt chyba nie słyszał, natomiast o nienawiściach, kłótniach, zazdrościach, intrygach — bardzo wiele. Jeśli się wiążą — to w klikę wzajemnej reklamy, jeśli się rozdzielają — to z powodu frazesu, drobnej sprzeczki lub mizernych pretensyj towarzyskich.

A jednakże ci ludzie mogliby — źle mówię — powinniby otrząsnąć swe dusze z pyłu pospolitości, wyzuć się ze skóry fi-

listerstwa i stworzyć dla świata literackiego taką atmosferę, jaka przystoi wyżynom życia. Potrzebna ona jest nietylko dla nich samych, ale dla społeczeństwa, które zdrowieje i krzepnie, oddychając prądami świeżego powietrza, płynącego z gór na doliny. Szkoda, że podobną zmianę można zalecać, ale nie można jej dokonać, o ile się nie pochodzi z gniazda górnolotnych ptaków, tworzących w naszej literaturze stado romantyzmu. Czytajmy przynajmniej listy z tej epoki.

*Poseł Prawdy.*

---

# LISTY Z PARYŻA.

Jasnowidząca z ulicy Paradis.— Cudotwórca Vignes z gór maweńskich. — Wspomnienie pozgonne profesora Feliksa Lejarsa o Teichmanie. — Teza panny Złotowskiej o zastosowaniu seroterapii w szpitalach francuskich.

Rue de Paradis — ulica rajska — od jakiegoś czasu w zupełności zasługuje na swą nazwę. Osiadł bowiem na niej w domu i, co więcej, w osobie Henryki Couédon, wysłaniec sfer niebieskich, archanioł Gabryel. Życzliwi reporterzy otrąbili *urbi et orbi*, jaką specyalność wybrał, a najlepsza stręczycielka: głupota ludzka, ze wszystkich krańców Paryża i Francyi przywiodła mu chciwych rady.

Osoba, w którą zstąpił, liczy lat 24. Ojciec — pisarz u adwokata, matka—kobieta bez żadnego wykształcenia. Tą samą zaletą odznacza się i panna Couédon. Lekturę swą ograniczyła kilkunastu książkami popularnemi, które bywają rozdawane na egzaminach, jako nagrody. Czytuje zapewne brukowe pismo *Le petit journal*, a silne wrażenie wywarła na nią historya dziewicy orleańskiej. Głównie wspomniane czynniki zawierają jej proroctwa.

Do 5 sierpnia 1894 r. naczynie łaski wypalało się. Lecz dnia tego arcy-ekspert uznał je za gotowe: około dziesiątej rano goszcząc u pani O., która także posiadała ongi dar jasnowidzenia, panna Couédon wpadła w ekstazę kilkogodzinną. Starano się ją wyprowadzić z dziwnego stanu, ale napróżno. Ponieważ przez rok zachwycenie nie wracało, zapomniano o niem.

Aliści 5 sierpnia 1895 r. o tejże godzinie, co poprzednio, zwiastun przyszłości znowu zawitał do młodocianej duszy.

Znajomi i nieznajomi dowiedziawszy się, że Henryka Couédon przepowiada przyszłość, jęli zosobna, potem tłumnie zwracać się do niej. Na wiadomość o tem „spowiednik rodziny,“ ksiądz Valadier, zatrwożył się. Któż wie — sądził — czy nie szatan wcielił się w dziewicę. Dnia 17 marca 1896 r. wieczorem odwiedził ją i po rozmowie przeszło półgodzinnej wyszedł zadowolony, „ze łzami w oczach.“ Na wszystkie pytania bowiem Gabryel odpowiadał jak najuprzejmiej i z pełną życzliwością. Henryka reporterom podała te, które pamiętała. „Jeślibym miał eucharystyę, cobyś uczynił? — pytał duszpasterz. „Ukląkłbym przed tobą“ — brzmiała odpowiedź. „A gdybym ci podał krucyfiks?“ „Ucałowałbym go.“ Więc wszelkie wątpliwości księdza Valadier rozchwiały się i odtąd ani on, ani rodzice Henryki, ani sama panna Couédon nie potrzebują czuć skrupułów religijnych.

Jakich przeto rozkoszy mogą doznawać dzięki temu potomkowie d'Alembertów i Diderotów! Pani X. np., nie powiedziawszy nawet swojego imienia (co zwiększa znacznie cud!), dowiedziała się, że jej były mąż, z którym się rozwiodła, oszukiwał ją!.. Pana J., grubego notaryusza z prowincyi, zasmucił Gabryel tąż samą wiadomością, dotyczącą jego — nawet nie rozwiedzionej — żony. Kapłan z wioski V. był uprzedzony, że przeniosą go do innej dyecezyi. I przenieśli go!.. A panu Janowi Sabatier z bulwaru La Tour Maubourg anioł przepowiedział spadek.

Większą jednak przysługę uczyniłby wszystkim tym osobom lokator panny Henryki — rzekł dowcipnie Karol Richet — jeśliby odkrył wysokość giełdy za dwa lub trzy dni. Bo bez trudności mógłby się znaleźć w posiadaniu kilku milionów.

Przepowiednie polityczne— gdyż i polityką zwiastun nie gardzi— są bardzo groźne. Francya będzie ukaraną za swą bezbożność, w Paryżu spłonie ratusz i opera, giełda będzie zamknięta. Coś, czego jednak anioł nie umie dokładnie wypowiedzieć, stanie się w budowanym obecnie kościele Serca Jezusowego na Montmartre. Co? Sądzę, że nie trudno domyśleć się, zważywszy inne przepowiednie Gabryela. Wszak przybędzie król, który już nietylko urodził się i dostał ząbki, ale liczy lat trzydzieści, ma nos z garbem i oczy wpadnięte. Nazywa się Henryk, herb jego lilia. Lecz nie jest nim żaden z dwu żyjących Henryków Orleańskich. Przyjdzie z kraju lodowatego. A zatem będzie jego koronacya na Montmartrze.

Prócz tego ujrzymy wówczas podział Anglii (dzwonienie na gwałt przeciw Anglikom w dziennikach francuskich), Guilbert nawróci się na chrześciaństwo, Feliks Faure dostanie dymisyę, aniołowie będą obcować z ludźmi, słońce zbliży się do ziemi, ale na nią nie spadnie, Lotaryngia wzamian za to będzie przyłączona do Francyi (Alzacya nie), wybuchnie wojna, a w końcu spadnie deszcz ognisty...

Ale przyjrzyjmy się wypadkowi poważnie. Zabawna ta prorokini nie przedstawia nic szczególnego. Wypadki podobne— mówi Richet w bardzo pięknym artykule pisma *Revue scientifique* — należą do tak znanych w zakresie zboczeń psychicznych, jak róża albo złamanie żebra w zakresie patologii. Słowa samej pacyentki rzucają zbyt wyraźne światło na charakter jej słabości. „Kiedy anioł mówi przez me usta—oświadczyła reporterowi Méremu— ja nic nie słyszę. Nie słyszę zarówno pytań zadawanych mu. Wówczas jestem tylko narzędziem, niczem więcej. Osobowość moja znika i dopiero od matki i innych osób dowiaduję się o rozmaitych proroctwach wyszłych ode mnie i spełnionych.“

Każdy, kto zajmował się psychologią patologiczną, pozna w tym razie dwuosobowość. Usposobienie naturalne, wychowanie, lektura, wreszcie obrazek przedstawiający zwiastowanie i od lat kilkunastu zawieszony nad łóżkiem Henryki, wpłynęły na przemieszczenie ośrodka jej osobowości. Lada wstrząśnienie zewnętrzne, mała pobudka oddziaływają silnie. Człowiekowi, pogrążonemu w śnie hypnotycznym, wystarczy, aby dokonać tej przemiany i nadać jej formę dowolną. Uśpiony może przemienić się w pieska, będzie nietylko szczekać, ale jak pies ogryzać świeże kości i za nogę chwytać. Od Azomy, który przed kilkunastu laty przytoczył podobny wypadek, wynikający niezależnie od uśpienia hypnotycznego, w życiu codziennem wielu badaczów europejskich gromadziło podobne fakty. Stany te mogą trwać nietylko kilka godzin, ale kilka tygodni i więcej. Większość czarownic składała się z chorych na dwuosobowość. Nawet bez pomocy patologii widzimy wypadki dwuosobowości, chociaż niezupełnej. Poeta, wkładając jakąś mowę w usta jednej ze swych osób, zlewa się z nią, traci chwilowo własną osobowość. Mówca, wypowiadając obronę, podstawia siebie zamiast oskarżonego. Mózg Henryki Couédon, gdy stała się „archaniołem Gabryelem,“ pracuje nad zachowaniem nowego jej charakteru i snuje nowe przędziwo, chociaż, co prawda, bardzo liche (większość wróżb posiada formę dwuwierszów).

Nie przeszkadza to, aby ją codzień odwiedzały tłumy, a nędzna broszura o niej miała wielkie powodzenie.

Dotknąwszy zapału cudotwórczego, chciałbym powiedzieć słów kilka o innym bohaterze dnia, wyróżnionym przez wyższe siły. *Revue des Revues* umieściła niedawno artykuł o wieśniaku Vignes, hugonocie z wioski ceweńskiej Vialas. Jest to starzec liczący 72 lata, w zakres wieszczb nie wkracza zupełnie, poprzestając na leczeniu siłą woli, cytatami z obu testamentów i ostatecznie środkami ludowymi. Przed ćwierć wiekiem zaczął udzielać rad znajomym, rozgłośne jednak imię wyrobił mu dopiero w r. 1895 pastor szwajcarski, Schlachter, z miejscowości Biel. Broszura jego zatytułowana: „Dobra nowina dla chorych,“ wywarła wielkie wrażenie w znacznej części Szwajcaryi i zwiększyła poważnie zastęp chorych, którzy podążali z protestanckiej części Francyi i z republiki helweckiej do Vialas.

Doktór Pin tak opisuje we wspomnianem piśmie konsultacyę Vignesa:

„Dwudziestu pięciu chorych weszło wraz z przewodnikiem do izby cudotwórcy. Przewodnik wyliczył wówczas choroby pacyentów. Vignes przybrał minę poważną, pełną prostoty i wypowiedział mowę następującej treści:

Jest tylko jeden lekarz: Bóg w osobie Jezusa Chrystusa. Gdy zechcecie go poznać, jemu się oddać, będziecie wyleczeni. Jezus mówił do porażonych niemocą: wstańcie i idźcie, i szli; do ślepych: przejrzyjcie—i widzieli; do głuchych: słyszcie— i słyszeli; tak z wami będzie, jeśli macie wiarę, która i góry podnosi: Idźcie w spokoju i bądźcie uzdrowieni.

Chorzy podczas mowy klęczą, następnie całują szaty wieśniaka i wychodzą — uleczeni.“

Młody chirurg i anatom, docent tutejszego uniwersytetu, Feliks Lejars, ogłosił w *Revue scientifique* bardzo serdeczny nekrolog Teichmana. Rozprawa ta pod względem naukowym i co do formy zasługuje na wyszczególnienie.

W czerwcu 1888 r. uczony francuski, wiedziony rozgłosem słynnego preparatora i badacza ustroju naczyniowego, przybył do instytutu anatomicznego w Krakowie. Szybko staruszek zaprzyjaźnił się z przyjezdnym i „godziny, które z nim spędziłem — mówi Lejars — należą do najmilszych, jakie sobie przypominam.“

Wprowadziwszy czytelnika odrazu w życie Teichmana, autor roztacza potem obraz biograficzny: młodość na wydziale teologii protestanckiej w Dorpacie, studya medycyny w Heidelbergu i w Getyndze, podróż po Europie dzięki stypendyum, otrzymanemu tytułem nagrody z uniwersytetu getyńskiego; wspomina o stosunku przyjaznym z Hyrtlem, o długoletnim prosektoracie w Getyndze i o przyjęciu katedry krakowskiej 1868 r. Przechodzi następnie do znaczenia jego w anatomii, roztrząsa większość prac drukowanych i oświetliwszy mile swoją rozprawkę kilku anegdotkami, kończy opisem ostatnich dni życia profesora.

Niedawno broniła tezy doktorskiej, pochodząca z Warszawy, panna Regina Złotowska. Praca jej: „Seroterapia i jej zastosowanie,“ nie zupełnie wprawdzie wyczerpująca, zawiera dość liczne dane zwłaszcza co do używania surowicy, jako środka leczniczego we Francyi. Nadto autorka podaje historyę nowej metody, opisuje sposób wyrabiania i dołącza kilka własnych spostrzeżeń, dotyczących szczególnie leczenia dyfterytu i wstrzykiwań doktora Marmorka.

*W. Bugiel.*

## BADANIA NAUKOWE.

### Psychologia Höffdinga. *)

Drugie wydanie niemieckie psychologii Höffdinga, powiększone i poprawione podług trzeciej edycyi oryginału duńskiego, nie różni się w zasadniczych swych częściach od pierwszego, które na język polski przełożył Daszyński. Zmiany dotyczą samych tylko szczegółów. Niektóre jego ustępy, gwoli większej jasności i dokładności, są rozszerzone i bardziej rozwinięte, niektóre twierdzenia sprostowane, zgodnie z badaniami najnowszemi.

Psychologia Höffdinga cieszy się powszechnem uznaniem. Wziętość swą zawdzięcza ona przedewszystkiem naukowej ścisłości, z jaką o przedmiocie traktuje, oraz dydaktycznym swym zaletom. Niemało jednakże przyczyniła się do jej ustalenia i dążność, jaką w niej autor przeprowadza. Założył on sobie pogodzić dwa kierunki, które, jak dotąd, wzajemnie się wykluczały: empiryczny, przeważnie panujący w psychologii angielskiej, i racyonalny, którego przedstawicielami są filozofowie niemieccy, niemogący się pozbyć skłonności do zacieków metafizycznych. Mniejsza, że w swych usiłowaniach nie zawsze autor bywa szczęśliwym, jak to w dalszym ciągu zobaczymy; dość, że samym zamiarem, dobrą chęcią, trafia, że tak powiem, do gustu naszego czasu, który z każdym dniem nabiera coraz większego zamiłowania do spekulacyj filozoficznych. Ludzkość zniecierpliwiła się widocznie w oczekiwaniu na ostateczne wyniki badań naukowych, które miały jej dostarczyć klucza do wszystkich tajemnic świata — i na nowo zwraca się ku owym sferom, które sama nie tak dawno jeszcze uznawała za przybytek urojeń, wprawdzie ponętnych, ale zawodnych. Smutne doświadczenia przeszłości, która tyle sił zmarnowała w pościgach za mrzonkami spekulacyjnemi, poszły w niepamięć — i nowe pokolenia, zbyt sobie ufając, pocieszają się nadzieją, że będą szczęśliwsze w swych usiłowaniach i jednym rzutem myśli odrazu dotrą do celu, do którego nauka, oparta na doświadczeniu, tylko powoli zbliża.

Ten rodzaj zniecierpliwienia dotknął także i Höffdinga. Wprawdzie nie poddaje mu się zupełnie i doświadczenie uważa za jeden z głównych czynników poznania, z tem wszystkiem odmawia mu „stanowczego głosu w zagadnieniach ważniejszych, odwołując się w tym względzie do wyższej instancyi, jaką jest myślenie spekulacyjne. Liczy się on w swem dziele pilnie z faktami, których mu doświadczenie dostarcza, fakty te atoli układa i porządkuje nie podług tych stosunków, jakie w nich doświadczenie wykrywa, ale podług planu, jaki im wyznacza z góry przyjęta zasada. A ponieważ naturalny porządek rzeczy nie daje się tak łatwo zamienić na sztuczny, stąd zmuszonym bywa uciekać się do pomysłów, których zadaniem nie jest wyjaśnienie faktów, ale proste zadośćuczynienie przyjętej zasadzie, oraz do gwałcenia faktów, z rozerwaniem naturalnych ich związków i wciśnięciem ich przemocą w sztuczne schematy, które zmieniają ich znaczenie i nadają rolę przeciwną ich naturze. Taką zasadą z góry powziętą jest prawo ciągłości.

Prawo to, znane oddawna w formie sentencyi: *Natura non facit saltus*, ostatecznie doczekało się uświęcenia powagą Leibnica. Ze stanowiska czysto logicznego nic da się nic przeciwko niemu powiedzieć; na nieszczęście rzeczywistość ma własną logikę, która z ludzką nie zawsze się zgadza. Nareszcie prawo to, gdyby się nawet okazało prawdziwem, niewieleby się przyczyniło do wyjaśnienia faktów i prawa przyczynowości zastąpićby nie zdołało. A właśnie prawo przyczynowości jest jedynem, które czyni dla nas zrozumiałem wszystko to, co się dzieje w nas i po za nami.

Pierwszem zagadnieniem, jakiem się autor zajmuje, a możnaby nawet powiedzieć jedynem, gdyż wszystkie inne z niego bezpośrednio wynikają, jest pytanie: czem jest dusza i ciało i jaki ich stosunek wzajemny? Przystępując do odpowiedzi na to pytanie, poddaje on krytycznej ocenie ważniejsze w tym przedmiocie zapatrywania, które sprowadza do czterech: dualizmu, monizmu materyalistycznego, monizmu spirytualistycznego i do teoryi tożsamości. Wykazawszy, że ani dualizm, ani monizm, tak materyalistyczny, jak i spirytualistyczny, nie czynią zadość wszelkim wymaganiom nauki i wymijają liczne pytania, które trzeba rozwiązać, ażeby wyrobić sobie jasne pojęcie o rzeczy, przyjmuje teoryę tożsamości za jedyną, która wyjaśnia stosunek duszy do ciała i ich natury. Podług niej, dusza i ciało są objawami jednego w sobie bytu. Czem jest ten byt w samym sobie, tego nie wiemy i wiedzieć nie możemy. Naszemu postrzeganiu zewnętrznemu przedstawia się on jako ciało; postrzeganiu zaś wewnętrznemu, jako dusza. W ten sposób dusza i ciało mają dla nas znaczenie czysto podmiotowe — i jako takie, nie mają żadnego związku z sobą. Jedynym stosunkiem między niemi jest stosunek równoległości. Polega on na tem, że każdej zmianie duchowej odpowiada równoznaczna jej zmiana cielesna i odwrotnie. Z tem wszystkiem równoległość ta nie upoważnia nas do wniosku, że sprawy duchowe podlegają prawu zachowania energii tak samo, jak i sprawy cielesne. Sprawy duchowe stanowią pod tym względem wyjątek.

Cały ten wywód nastręcza uwagi następujące: jeżeli dusza i ciało mają znaczenie czysto podmiotowe, zależne od warunków naszego poznania, to w każdym razie warunki poznania muszą mieć znaczenie przedmiotowe, muszą mieć swe ugruntowanie w samym bycie nieznanym, stanowiącym naszą istotę. Skoro tak, to nie jest on jakimś bytem czczym, pozbawionym wszelkiej treści, gdyż co najmniej tkwią w nim pewne różnice, odpowiadające odmiennym warunkom poznania. Dalej, ponieważ byt bezwzględny przedstawia się nam jako ciało i dusza, wskutek swego działania na nasze poznanie, przeto i wszelkie zmiany, spostrzegane w duszy i ciele, musimy uważać jako skutek owego działania, z rozmaitości zaś działania owego bytu na nas możemy wnosić o rozmaitej jego treści. A jakkolwiek nie wiemy, czem jest ów byt w samym sobie i jaka jest jego treść bez względu na warunki naszego poznania, z tem wszystkiem wiemy, czem jest ów byt w całej swej rozciągłości w stosunku do naszego poznania, jakim on jest w swem działaniu na nas. Zjawiska tak cielesne, jak i duchowe, dostępne naszemu poznaniu, są niejako symbolami tego, co w zasadniczym bycie zachodzi. Nie możemy więc twierdzić, że nic o nim nie wiemy, gdyż coś o nim wiemy; wiemy, czem się on nam wydaje. Dlatego też agnostycyzm w całej swej rozciągłości nie daje się uzasadnić, ma on tylko względne znaczenie.

Autor powiada, że dusza i ciało, jako zjawiska czysto podmiotowe, nie mają z sobą nic wspólnego. Leży więc między niemi przepaść. Zaznacza on to najwyraźniej. Podług niego, czucia zmysłowe, będące pierwszym objawem świadomości, ukazują się jako coś nowego, co nie ma początku, jako akt stworzenia. Między niem a wrażeniem, które jest sprawą czysto fizyczną, nie ma żadnego związku. Gdyby tak było, stanowiłoby to wyjątek wobec prawa ciągłości; lecz takiego wyjątku przyjąć nie możemy, dlatego zmuszeni jesteśmy przypuścić, że poniżej świadomości są sprawy nieświadome, stanowiące naturalne jej przejście do spraw fizycznych. Te sprawy nieświadome nie są duchowemi, gdyż tych konieczną cechą jest świadomość; nie są one również materyalnemi, gdyż do ruchu mechanicznego nie dają się sprowadzić. Są one czemś pośredniem, ale w każdym razie mającem większe powinowactwo ze zjawiskami duchowemi, niżeli materyalnemi. Czy to przypuszczenie wyjaśnia rzeczywiście pod jakimś względem porządek świadomości, czy przestaje ona być wobec niego czemś zupełnie nowem? Zdaje mi się, że pozostaje ona i nadal tem, czem była — i przepaść między tem, co jest świadomem, a nieświadomem, nie da się wypełnić żadnym pomysłem dowolnym, powziętym gwoli prawa ciągłości, które samo wymaga jeszcze dowodu.

(D. n.).

*Władysław Kozłowski.*
(Lwów).

*) „Psychologie im Umrissen auf Grundlage der Erfahrung" von dr. Harald Höffding. Wydanie drugie. 1893.

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA POLSKA.

Jerzy Żuławski: *Na strunach duszy*, poezye, garść pierwsza, Kraków, 1896, str. 251.

Właściwymi przedstawicielami uzdolnień i upodobań duchowych pewnego zbiorowiska ludzkiego w pewnej określonej dobie, nie są wielcy artyści, znakomici uczeni, pierwszorzędni poeci. Zaznaczył to bardzo dokładnie najstarożytniejszy ze świadków czynności naszych umysłowych — język, który wybitniejsze talenty i celniejsze dzieła nazywał zawsze „niepospolitemi," — to znaczy, nie odpowiadającemi istniejącemu ogólnemu nastrojowi i znawstwu. Budzić myśli wzniosłe a świeże, stwarzać światy nowe — zadania takie, stanowiące cel i istotę prawdziwego mistrzowstwa w sztuce i nauce, mają nader mało wspólnego ze znamiennemi cechami każdej chwili bieżącej i moralnemi usposobieniami mas jakichkolwiek, żyjących przeważnie teraźniejszością i znajdujących w jej nieskończonych przemianach zaspokojenie swych żądz, które są wiekuiście tymczasowe.

Rozważany z tego stanowiska zbiorek poezyj Jerzego Żuławskiego powinienby dostarczyć kilka spostrzeżeń pouczających. Odznacza się on w pierwszym rzędzie — równie jak i większość ukazujących się dziś wiązanek rymowanych — wielkiem urozmaiceniem wątków. Są w nim pieśni „o pierwszym brzasku" i „wśród „nocy zwątpień," — „Ze stepów życia" i „Z blasków słonecznych" — są nawet zapowiadające „Świt nowy." Od czego zacząć? — dla dzisiejszego wielbiciela muz jest to prawie zupełnie obojętne. Noc, dzień, blask, mrok, świt, przedświt — wszystko to już było, wszystko to są zwrotki znane i ograne. Spróbować jednakże można.

W pierwszych brzaskach jest pozdrowienie z Heinego, są trzy kwiaty, jest ru

salka, pod oknem, w jesieni, — jest kuzynka, z kwiatami, w maju — jest stworzenie kobiety... Zobaczmy to stworzenie. „Allah dumając nad świata marnotą, z piersi swej boskie uronił westchnienie; z ust mu wybiegło wonną parą złotą, wzgardą ciężarne upadło na ziemię. W lot je piekielne chwytają geniusze, w cieniów je stroją zdradliwe uroki, perłą, purpurą nikłą barwią duszę: blaski księżyca i czarne obłoki złączywszy, cudną istotę stworzyli. Rzekli: niech będzie do zguby podniętą. Zoczył ją człowiek; zdziwiony skroń chylił; piękną ją uznał— bo była kobietą." (31). Nic sobie — ujdzie, choć nie daleko. Na stepie życia mamy: w świat marzeń, przed burzą, wezwanie, na koniu, kochance, nie mnie kochaj... Doprawdy? — więc co i kogo? — „Nie mnie kochaj, dziewczyno, lecz myśl kochaj we mnie, co choć słaba, do czynu rwie się i do lotu, łaknie burzy i wichru, piorunów i grzmotu, i chciałaby rozświetlić prawdą życie ciemnie... Myśli moje ty kochaj, nie zgryzie ich burza.... Chociaż starcem już będę, to szata niedzielna ducha mego młodego stanie ci za stróża... Myśl ma śmierci śmie nawet urągać... bezczelna..." (41). Wcale dobrze, po usunięciu, naturalnie ustępów mniej szczęśliwych o kielznaniu rumaków dzikich, o klękaniu u podnoża grobu itp. We wrażeniach wieczornych pierwsze siedm i pół wierszy podobają się: „Wieczorną chwilą nad ciche sioła rozkołysanych głos dzwonów płynie, spiżową piersią ku niebu woła srebrzystą skargą po rosach ginie... a nieuchwytny, choć wielki i silny, a nie raduje, choć zda się wesoły, a nie zasmuca choć zda się mogilny, a nie ukaja, choć..." (99). Głos, w którym „są anioły," pędzi nas nieco dalej.

W tęsknotach do kraju, do swoich, po wyjeździe na obczyznę „za chlebem" (34), nic do opuszczenia nie znajdujemy. „Kędyś kraju rodzinny? — Tułacz i sierota różne kraje objeżdżam i miasta i wioski, ale nigdzie nie mogę pozbyć z serca troski: wszędzie idzie w ślad za mną jak widmo— tęsknota. Piękne miasta widziałem pełne sztuk i złota, Alp widziałem lodowce i firmament włoski, morza brzeg i w mirtowych gajach białe kioski, kędy mieszka wesele, rozkosz i pustota; w drodze, nieraz z namiętnych ust ssałem przynętę, zapomnienia szukałem w towarzyszów gwarze, kończąc śmiechem udanym pieśni w łzach poczęte, — ale sercu nie ulżyć. Dzisiaj tylko marzę, by raz jeszcze obaczyć polskie łany ścięte — i tam żyć i umierać, gdzie ojców cmentarze" (119). W rozczarowanym, obok retorycznych przechwałek w byrońskim guście, znajduje się również parę wyrażeń nieoczekiwanych: „Żarem dawnym gardzący, nie czuły na nowy, drwiący z wichrów — wciąż jestem życiem zdziwiony" (140). To samo w prosektoryum, na zamknięcie: „Po co lotem bić w gwiazdy, na co życia wiry, na co piękność i szczęście, i rozum i sława, co mi z pieśni, co z dźwięku rozżalonej liry, po co szaleć i cierpieć, na co praca krwawa,—jeśli końcem istnienia zgnilizna plugawa, jeśli śmierć nas przemienia w marną garstkę błota, jeśli wieczność — niestety — tylko bajka złota" (159). Ładne ustępy znajdują się też i w borze: „Pójdę na góry, gdzie zdala od ludzi drzemią ciche, tajemne, śniegiem białe puszcze, gdzie po jodłach wiatr stąpa i tak jodły muszcze, że się w drzewach serdeczna jakaś struna budzi — i las cały jak harfa nastrojona smutnie, z wiatrem gada i płacze, skarży się i szumi, łka i jęczy i wzdycha — i westchnienia tłumi" (193). Godziłoby się jednocześnie przytoczyć po choć parę wierszy z „Naprzód," poświęconego Wiktorowi Tarnowskiemu, z „Mojżesza," ofiarowanego T. T. Jeżowi, z „Pielgrzyma," przypisanego Janowi Popowczakowi, z „Widzeń," dedykowanych braciom - pieśniarzom, szczególnie zaś z „Mojej piosnki," przesłanej w upominku pani Maryi Woytkiewiczowej (198—200), gdzie jest parę wspanialszych metafor na niemilknący dantejski temat podróży przez życie, jak np. i widziałem „człowieka, co wiecznie w jasne dążył słońca, a z ciemności wyjść nie mógł i błądził bez końca;" ale cytat byłoby za wiele.

Natomiast, pominąwszy fragmenty, wolę na zamknięcie przytoczyć rzecz z całego tomiku najcenniejszą, najkosztowniejszą: „Prawdy, co wczoraj niewzruszone były, dziś się w bezkształtne rozpadają bryły... Biada stworzeniu, co pod dachem kruchym stawiło skarby swoje i ogniska, wierząc stuletniej potędze zamczyska, które się jutro zwali z jękiem głuchym! Biada gołębim tam u szczytu gniazdom! W proch jutro padną razem z wieżą dumną, razem z złoconą krzyżową kolumną. co wczoraj blaskiem urągała gwiazdom!.. Aby żyć można bez wiecznego strachu, kretem być trzeba pod powierzchnią ziemi, oślepnąć, chodzić drogami czarnemi i słońca nie znać, ani świątyń gmachu... Ha, lub orłem być... Wzbić się po nad wieży i z góry patrzeć na zniszczenia ślady, na konające pośród gruzów gady i konające wśród ruin rycerze... Bez odpoczynku i bez pokrzepienia tak się pod niebem orlim ważyć lotem i gardzić świątyń walących się grzmotem i gardzić ziemią, co wiecznie się zmienia... A kiedy w skrzydłach już nie starczy mocy, orzeł samotny, który żył bez gniazda, upadnie z nieba jak strącona gwiazda, na łono gruzów, zapomnień i nocy... (165).

Z tego się pokazuje, że podana przed chwilą definicya poezyi małej, jako wiarogodniejszej, niżli wielkiej wyobrazicielki prądów rzeczywistości konkretnej, ujętej w karby danego miejsca i czasu, nie ma w sobie nic niezbędnie ujemnego i lekceważącego. Jakiekolwiek byłoby zbliżenie i uwzajemnienie dwóch tych światów — nie traci promień nad kałużą blasków, nie kona wieszczba wśród karczemnych wrzasków. Omdlewa czy się wznosi, sokole czy jaskółcze ma loty, pieśń nie tarza się i nie pełza po rozdrożach, jak niewolnik pijany, a gdy ją oddech swawoli i rozpusty zatruwa, ucieka na nagie pola, na suche lasy, na szare pustkowia — i nikt do niej nie powie słowami satyryka angielskiego do opinii — i do kobiety głupiej a nadobnej: *Or stain her honour or her new brocade...*

Nie można wiedzieć, kolczyk czy też serce
Zgubisz w podróży na pierwszym wokzalu,
I nikt nie zgadnie, co wpierw poniewierce
Dasz —cześć czy suknię—po skończonym balu.

*.*

## SKARBIEC STRZECHY NASZEJ.

Jak kwiaty są ozdobą roślin i ziemi, tak nasze zwyczaje doroczne są okrasą naszego domowego życia. Są one spuścizną długich stuleci bytu społecznego, a dla wnuków są pamiątką po ich ojcach i dziadach." Tę okrasę, kwiaty z pod strzechy chłopskiej,—pieśni ludu naszego, zebrał p. G., (muzykę harmonizował p. M.). Jest ich sporo, charakteryzują zaś życie domowe, pojęcia, zwyczaje, przesądy i nawyknienia ludu, przywiązane do pór roku, miesięcy, pogody, obrządków, uroczystości rodzinnych itd. Są więc kolędy pobożne, z których najpopularniejsze, śpiewane nietylko w chałupach, lecz i we dworach: „W żłobie leży," „Bóg się rodzi, moc truchleje." Dalej kolędy Kurpiów z puszcz mazowieckich, Mazurów płockich, inne pieśni kolędników, śpiewane w domach, gdzie są dziewczęta. W tych pieśniach wyobraźnia ludu zwleka na padół swej pracy powszedniej świętych z krain zaziemskich i dzieli między nimi czynności gospodarskie, kwiatem poezyi przeplecione:

A na onej roli złoty płużek stoi,
A przy onym płużku cztery konie w cużku,
Na naręcznym koniu święty Szczepan siedzi,
A Jan święty z boku koniki im wodzi,
A za onym płużkiem sam Pan Jezus chodzi,
Najświętsza Panienka śniadanko nosiła,
Śniadanko nosiła, szczęścia im życzyła.

Skąpym i niegościnnym dziewczętom („co się jednak prawie nigdy nie zdarza") kolędnicy nie żałują chłosty satyrycznej: „U naszych dzieweczek śliczny porządeczek: świnie w piecu ryją, psy naczynia myją, a łyżki pod ławą zarosły murawą. Krowy nie wydoi, ogona się boi, izby nie zamiecie — kupą leżą śmiecie. Kolędy nie dają, jeszcze wyganiają."

Kolęda noworoczna, pieśni zapustne, postne, wielkanocne, śpiewy i powinszowania chłopców, chodzących w poniedziałek wielkanocny po „dyngusie," czyli „śmigusie," po „włóczebnem" (na Podlasiu) z wielką drobiazgowością charakteryzują zwyczaje ludu i jego przywiązanie do obrządków odwiecznych. Pieśni wiosenne ujawniają pewną wrażliwość umysłu chłopskiego na piękno budzącej się natury, tudzież pielęgnują resztki dawnych zwyczajów słowiańskich (w „Gaiku," „Maiku" lub „Nowem latku"). We wtorek po Wielkiejnocy, albo na początku maja chłopcy lub dziewczęta ozdabiają zieloną gałąź (zwykle choiny) wstążkami i przywiązawszy na jej wierzchołku lalkę, która ma oznaczać królowę wiosny, obchodzą wszystkie we wsi domy, śpiewając wesołą pieśń gaikową i winszując „nowego latka."

Tak zwane wiośnianki w niektórych okolicach są śpiewane przez młodzież obojej płci w wieczory świąteczne śród wioski lub za nią pod krzyżami. Dożynki, okrężne, gody weselne, mają mnóstwo pieśni okolicznościowych, poświęconych każdemu szczególikowi zwyczajów, jak i w innych okolicach u ludu pokrewnego. U nas pieśni ułożone w dawnych wiekach przez „ludzi natchnionego ducha," jak ich p. G. nazywa, przechowały się dotychczas pod strzechą chłopską. Niegdyś śpiewano je po wszystkich dworach wiejskich, śpiewali lirnicy wędrowni, młodzież, witająca wiosnę i lato, prządki zbierające się w wieczory zimowe. Dziś śród tak zwanej inteligencyi, pozostało już tylko ich echo lub strofki urywane i melodya przekręcona. To też zasługą jest pana G., że je pozbierał, powiązał i utrwalił w osobnej książce, a pana M. — że melodyę odtworzył i motywy proste nagiął do akompaniamentu na fortepian. W tych kołysankach, dumach, dumkach, krakowiakach i mazurkach jest tyle prawdziwie pięknej poezyi i muzyki, że warto, ażeby nasza młodzież rozśpiewana, uprawiająca w salonach i salonikach arye, różne „kawałki" z lichych oper i operetek, bezbarwne piosnki francuskie lub niemieckie, zechciała sięgnąć do tego skarbca strzechy wiejskiej, odświeżyć nim i wzbogacić swój repertuar amatorski. Początek powinny zrobić i dać dobry przykład nasze „drużyny śpiewacze" w Warszawie i na prowincyi, tembardziej, że pieśni owe nadają się wielce do chóru. Tam gdzie niema ani „Lutni," ani „Dudy," chóry samouków na prędce lub przygodnie organizowane miałyby materyał piękny i łatwy do przyswojenia.

Do melodyj ładniejszych zaliczyć można: „A ty ptaszku krogulaszku," „Hej, jedzie bułan, jedzie," „Chociażeś ty krakowianka," „W ciemnym lasku ptaszek śpiewa," „Idzie Maciek przez wieś" i inne.

P. G. oprócz pieśni zebrał baśnie i powieści, przypowiastki żartobliwe, przysłowia, przestrogi i wyrażenia, zagadki, gry i zabawy. W osobnym zaś opisie na

czelo książki dał obraz naszej wioski... nieistniejącej w rzeczywistości: Na brzegu gospoda przestronna, schludna, a w niej gazety, czasopisma ludowe. O setkę kroków dalej dom nowy, porządnie zbudowany, z ogródkiem, wprawdzie pod strzechą słomianą, ale z gankiem i rynnami do ścieku wody. Od ulicy wiedzie doń bramka, która się sama po otworzeniu zamyka i na podwórze prowadzi, wrota wjazdowe pod daszkiem na dwu słupach— to wzór domostwa chłopskiego. Dalej chata — „jak staroświecki mały dworek szlachecki wygląda. Na środku niewielkiego dziedzińca trawnik kolisty z kompasem słonecznym, w ganku dwie ławy szerokie, pod oknami malwy i gwoździki (dlaczego tylko te, ulubione przez chłopa kwiaty?), w szczycie domu lipa z kamieniami i stolikiem do siedzenia w chłodzie, w ogródku grzędy agrestu, malin i porzeczek.“ — To jest siedziba gospodarza, który się w szkołach uczył. Za nią kuźnia pod obszerną wystawą dachu, gdzie stoją liczne narzędzia rolnicze, dane do naprawy, wreszcie tokarnia żelazna. Nad innemi zabudowaniami panuje dom szkolny o ścianach wysokich i oknach dużych. Nad gankiem zegar wskazuje dziatwie i mieszkańcom godziny ich pracy, u ściany skrzynka do listów, które stąd są odnoszone na pocztę. Szkółki szczepów owocowych z nazwami na tabliczkach, grzędy rozmaitego warzywa i różne rodzaje ulów z pszczołami. Każde dziecię ma swój zagonek oddzielny, gdzie pod okiem nauczyciela chłopcy i dziewczęta sadzą drzewa, zasiewają warzywa, ziółka lekarskie. Nad zagonkiem wypisane imię ucznia pozwala ocenić jego pracę i troskliwość. W jednej połowie domu izba szkolna i mieszkanie ochroniarki, pod której opiekę rodzice odprowadzają drobną swą dziatwę, sami idąc do pracy. Ulica wioski dobrze wybrukowana, ze ściekami po bokach, wszystkie domy toną w sadach, jabłonie, grusze i śliwy uginają się pod ciężarem dorodnego owocu, nietkniętego, choć go można dostać ręką za płotem. Nikt jednak nie czyni szkody od czasu, gdy dziatwa uczy się w szkole ogrodnictwa i pielęgnuje własne drzewka. Wieś zaniechała dawnego gospodarstwa trzypolowego i urządziła się kolonialnie.

Tak wygląda wplątany w długą gawędę p. G. ideał wioski, której nietylko w rzeczywistości, ale nawet na wystawie hygienicznej jeszcze nie mamy. W tem rajskiem zaciszu, śród dobrobytu i zdrowia, gładziej i melodyjniej płynęłyby piosnki, w zbiorku niniejszym zawarte, a zimą w budynku szkolnym kapela wprawniej od ucha rznęłaby mazura i zachęcałaby do zabawy, nie podniecanej gorzałką.

*Z.*

## NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

**Nauki**. Ks W. M. Dębicki, *Filozofia nicości*, rzecz o istocie buddhyzmu (str. 108), Gebethner i Wolff.

— Dr. A. Sempolowski, *Wyniki prac i doświadczeń*, wykonanych od 1 lipca 1894 r. do 1 lipca 1895 r. przez stacyę w Sobieszynie (str. 157).

— Hugo Berger, *Łatwa metoda* gruntownego nauczenia się w krótkim czasie języka niemieckiego (str. 286, klucz str. 40). Gebethner i Wolff. Zdaje się, że jest to jeden z lepszych tego rodzaju podręczników.

**Beletrystyka**. W „Bibliotece ilustrowanej,“ wydawanej przez Gebethnera i Wolffa, wyszły *Nowele* Sienkiewicza (Janko muzykant, Jamioł, Z pamiętn. nauczyciela poznańskiego, Latarnik, Lux in tenebris, Bądź błogosławiona).

— Exterus, *To zdrowie*, powieść (str. 303), Gebethner i Wolff.

— Z. Kowerska, *Na służbie*, powieść, tomów dwa (str. 292 i 257), Gebethner i Wolff.

**Bibliografia**. M. B. wydał *Spis bibliograficzny druków łódzkich* (str. 48). Tytuł błędny, gdyż jest to spis druków wydanych w Łodzi, o Łodzi i dla Łodzi. Ponieważ druga kategorya nie jest całkowita, a trzecia w znacznej części sztuczna, gdyż nie dotyczy samej Łodzi; ponieważ większość druków łódzkich obejmuje sprawozdania handlowo-finansowo-przemysłowe w rozmaitych językach, więc nie pojmujemy, z jakim celem praca ta została podjęta i czego ona ma dowodzić.

**Nowe pismo**. P. Maryi Chełmońskiej wydano koncesyę na tygodnik *Kuryer niedzielny*, w Warszawie.

## SPRAWY EKONOMICZNE

## SZKICE EKONOMICZNE.

Jeszcze o wartości.—Widnokręgi przemysłowców.—Koszty produkcyi i podrzędne stanowisko pracy w księgach rachunkowych.— Cena „wewnętrzna.“— Zyski powstają w sferze obiegu. — Mistyfikacya ekonomiczna.

Badając towar ze względu na rodowód jego wartości, doszliśmy do wniosku, że jest on wytworem pracy, i tylko pracy. Narzędzia, których ktoś używa podczas produkcyi, i materyał surowy, który jest poddany przeróbce, można rozłożyć ostatecznie na taką lub inną ilość wysiłków ludzkich. Praca jest jedyną potęgą, która jest właściwa wszelkim systemom produkcyi, zarówno pierwotnym, podczas których narzędzia są bardzo proste i stanowią czynnik podrzędny, jako też obecnemu, opartemu na maszynie i wogóle środkach udoskonalonych. Rikardo, wychodząc z takich przesłanek, sformułował prawo, głoszące, że praca jest jedyną kategoryą wartościotwórczą. Zasada słynnego ekonomisty angielskiego doznała w ostatnich czasach rozwinięcia dokładniejszego, mianowicie że praca nietylko tworzy wartości, lecz też je mierzy, przyczem trzeba brać pod uwagę nie zwykły, indywidualny wysiłek mięśni, ani też warunki produkcyi pierwszego okazu pewnego przedmiotu, ale pracę przeciętną, społeczną, użytą na reprodukcyę dalszych okazów. W każdym towarze zawiera się pewna ilość takiej substancyi, takiego zakrzepłego wysiłku, i dwa przedmioty, przedstawiające go w jednakowej mierze, są sobie równe pod względem wartości — abstrakcyjnie.

Ale ta abstrakcyjna miara nie jest zasadą, któraby rządziła wymianą produktów w sposób świadomy a ścisły. Co więcej, są epoki historyczne, podczas których stale bywa nadwyrężana, tak iż istnieje ona nie jako gotowe założenie, według którego ludzie postępują, ale jako kategorya, która urzeczywistnia się żywiołowo, że tak powiemy: po za plecami świadomości, wyjątkowo, choć zawsze przedstawia punkt ciężkości, określający wahanie cen.

Jużeśmy w poprzednim szkicu zaznaczyli, że wytwórca podczas okresu rzemieślniczego inaczej zachowuje się wobec aktu wymiany, aniżeli przedstawiciel tegoczesnej doby historycznej. Dawny producent, który ogarniał okiem swojem wszystkie zakresy ówczesnej działalności przemysłowej, który na rynku sprzedawał wytwór własnych mięśni, wyrobiony przy pomocy bardzo mało złożonych narzędzi, producent taki mógł ocenić wysiłek, płynący z rąk jego, oraz tkwiący w tych przedmiotach, na które wymienił swój towar. Praca była wtedy nietylko potęgą wartościotwórczą, ale także miarą, mniej lub więcej trafną, ale w każdym razie świadomie stosowaną przez człowieka. Ocenę taką możemy porównać do tych bardzo niedokładnych obliczeń wagi, gdy ktoś bierze do ręki pewien przedmiot, potem zaś drugi, i według otrzymanego wrażenia sądzi o wzajemnym stosunku ciężaru obu ciał. Postępowanie rzemieślnika było jeszcze niedokładniejsze, jeszcze bardziej przypadkowe, ale, bądź co bądź, tkwiła tam świadomość, że wysiłek mięśni i nerwów jest w obu wymienionych produktach mniej więcej ten sam pod względem ilościowym.

Taki stan rzeczy z nastaniem industryalizmu uległ zmianie gruntownej. Gdyby wytwórca bezpośredni, tj. robotnik, rozporządzał wyrobem swojej pracy i przychodził z nim na rynek, ocena według wysiłku, jaki wyłożono na wyprodukowanie pewnego przedmiotu, najlepiej odpowiadałaby jego widnokręgom ekonomicznym. Atoli towar należy do przedsiębiorcy, który sprzedaje go, kierując się poglądami, podsuwanymi mu przez jego otoczenie społeczne. Probierz wysiłku przeciętnego, społecznego, nie jest stosowny, bo przemysłowiec nie ma w swojem otoczeniu osobistem żadnych pobudek, ani wzorów, w taki sposób kształtujących jego zapatrywanie, ani też nie jest przedstawicielem społecznego podziału pracy, ale tylko pewnego prywatnego interesu.

Jakiem więc kryteryum rządzi się przemysłowiec, gdy wysyła na rynek produkty, wyrobione w jego fabryce? Dlaczego nie stosuje wzorów produkcyi rzemieślniczej, któraby brała pod uwagę pracę niezbędnie społeczną?

Przedewszystkiem zaznaczmy, że z punktu widzenia przedsiębiorcy praca nie odgrywa roli potęgi wartościotwórczej i że cały tryb prowadzenia produkcyi dzisiejszej i rachunkowości uniemożliwia mu powzięcie takiej myśli. Każdy fabrykant prowadzi w księgach rachunek dochodów i wydatków. Użył on pewną ilość pieniędzy na zbudowanie fabryki i zaopatrzenie jej w potrzebne maszyny. Koszty te figurują w księgach, jako rubryka oddzielna. Co miesiąc lub kwartał kupuje on pewną ilość materyału surowego, który ulega przeróbce w jego zakładzie. Wydatek ten jest zapisany obok poprzedniego, jako inna rubryka. Wreszcie trzeba nająć pewną liczbę robotników, którzy, użytkując z narzędzi, znajdujących się w fabryce, wyrabialiby z materyału surowego przedmioty, będące specyalnością zakładu. W kosztach na najem siły roboczej pryncypał widzi tylko nową rubrykę wydatków, którą wciąga do ksiąg rachunkowych. I koszty, poniesione przy kupnie narzędzi, i materyał surowy, i pieniądze, wypłacone robotnikom, figurują tam, w budżecie wydatków, jako działy wprawdzie różnoimienne, ale z punktu widzenia właściciela przedstawiające kategoryę tej samej natury. Rzecz cała na tem polega, że pieniądze, które poszły na zakup maszyn, raz wydane, obejmują znaczniejszy przeciąg czasu, może lat parę nawet; że rubryka, przeznaczona na materyał surowy, bywa odnawiana w krótszych odstępach czasu, że wreszcie dział, przeznaczony dla notowania zarobków, bywa zapełniany co tydzień lub dwa. Istnieje więc różnica tylko co do częstości księgowania wydatków na te lub inne cele — nic więcej. Dla kapitalisty bowiem żadna z nich nie odznacza się wyjątkowemi właściwościami: bez żywej pracy wprawdzie wytwór nie byłby wykończony, ale przecież na równi z robotnikiem potrzebne są maszyny i materyał surowy. Że praca ma być potęgą wartościotwórczą—jedyną i wyłączną, nic nie wskazuje tego w księgach, ani też w ukształtowaniu produkcyi. Są tam jeszcze narzędzia i materyały, księgi zaś świadczą, że wszystkie te trzy kategorye są notowane na jednakowych prawach obywatelstwa! Nowa wartość, stworzona przez pracę ludzką w zakładzie rozpatrywanego przemysłowca, ściślej: i do-

dana do wartości materyału surowego, zwłaszcza zaś jej część, znana w ekonomii pod nazwą nadwartości, bynajmniej nie uwydatnia się jako taka. Przedsiębiorca nietylko nie jest świadom jej istnienia, ale nawet nie jest pewny, czy będzie miał jakiś zysk na rynku ze sprzedaży towaru. O ile trzyma się widnokręgów swojego życia, wie tylko że posiada do rozporządzenia nowy towar, który ma zrealizować w wymianie. Ile za niego otrzyma, o tem wnioskuje na podstawie ksiąg. Zanotował tam wszelkie koszty i może z łatwością obliczyć, ile poniósł wydatków na pojedynczy okaz towaru. Nie sprzeda on swojego wytworu poniżej tej kwoty, bo nietylko nie zyskałby nic na swojem przedsiębiorstwie, lecz straciłby kapitał, ulokowany w fabryce. Jest to dla niego jedyne kryteryum ceny, wyznaczające jej granicę najniższą. Co więcej, tę kwotę, określoną na podstawie ksiąg, fabrykant może uważać jako cenę, za którą sam nabył ów towar, tj. pierwiastki, które weszły w jego skład. Rzecz to naturalna, że właśnie w tej sumie widzi on wartość „istotną," „wewnętrzną" przedmiotu i że niektórzy ekonomiści biorą jego klasowe widnokręgi za szczere złoto empiryi praktycznej i na niej wznoszą już wywody teoretyczne. Przynajmniej życie codzienne nie daje przemysłowcowi żadnej innej nici przewodniej. Jest ono wykrętnym mistyfikatorem, z którego matni umysł powierzchowny z trudnością może się wydostać, zwłaszcza jeśli interes każe mu się nie wydostawać. To, co kierunek krytyczny w ekonomii politycznej ochrzcił nazwą nadwartości, nie istnieje jako odrębna kategorya dla przedsiębiorcy, namacalna, widoczna i realna, lecz przybiera pozory prostej przewyżki ceny sprzedaży nad ceną kupna, tj. kosztów.

Otoczenie przemysłowca posunęło swoją mistyfikacyę jeszcze dalej.

Nadwartość, przedstawiająca się z subjektywnego punktu przedsiębiorcy jako prosta nadwyżka, jest owocem pracy ludzkiej, którą wyłożono w zakładzie podczas produkcyi. Atoli zrealizowanie jej nastaje dopiero w sprawie obiegu. Pozory zaś, że nietylko bywa tam, na rynku, zrealizowaną, ale że nawet dopiero tam się rodzi, są tem większe, ponieważ od ukształtowania konjunktur rynkowych i obrotności kapitalisty zależy otrzymanie nadwyżki pewnej po nad koszty produkcyi. Współzawodnictwo, istniejące pomiędzy pojedynczymi przedsiębiorcami, sprawia, że przy pewnym zbiegu okoliczności będą pokryte zaledwie koszty, albo że otrzymany ze sprzedaży zysk będzie bardzo nizki. Wogóle na targu towar podlega różnym przygodom; bywa on nawet niekiedy narażony na zagładę przed użyciem, tj. butwieje lub psuje się, zanim znajdzie nabywcę. Ruchliwość przedsiębiorcy, jego energia i umiejętność wyzyskania każdej nadarzającej się okazyi rozstrzygają poniekąd o takim lub innym wyniku sprzedaży. Warunki układają się tak, że przemysłowiec mimowoli musi porównywać siebie do kupca, który towar, kupiony za tanią cenę, obecnie, dzięki swojej obrotności, sprzedał drożej. Tak. on kupił produkt po danej cenie: włożył pewną kwotę w budynki, zapłacił za maszyny i za materyał surowy lub wyłożył na najem siły roboczej! Kupił te rzeczy tylko po to, ażeby je później sprzedać drożej. Nadwyżka, którą obecnie otrzymał przy zrealizowaniu towaru na rynku, przybiera w jego umyśle szczególną postać: nie jest to już wartość, stworzona przez pracę w jego fabryce, ale tylko zysk, pochodzący z rynku i zawdzięczający swój początek jego działalności kupieckiej. Pozory wysuwają się na plan pierwszy, zaciemniają doszczętnie istotę stosunków, przeinaczają znaczenie różnych kategoryj produkcyi i umysłowi poddają najopaczniejsze tłomaczenie! Pomiędzy sobą a zwykłym kupcem przemysłowiec widzi tylko jedną różnicę. Zamiast kupić rzecz już gotową i odprzedać ją komuś trzeciemu, fabrykant nabył tylko składowe pierwiastki i z nich kazał zrobić towar, od nich odmienny. Słowem, ani rachunki, zawarte w księgach, ani doświadczenie codzienne nie uprzytomniają przedsiębiorcy, ażeby owa nadwyżka ceny sprzedaży w porównaniu z kosztami miała powstać w jego zakładzie już podczas wytwarzania towaru, lub ażeby robotnik przeniósł na materyał surowy coś więcej nad rozmiary otrzymanej płacy. Do zysku, jaki otrzyma pryncypał ze sprzedaży, w jednakowej mierze przyczyniła się każda rubryka wydatków: i maszyna, i materyał surowy, i robotnik, najwięcej jednak umiejętność wyzyskania położenia rynku. Mniejsze lub większe rozmiary płacy robotniczej są równoznaczne — ze stanowiska rachunków księgowych — z tańszem lub droższem kupnem maszyn, w dalszym zaś ciągu mogą być przyrównane do postępowania kupca, któremu udało się nabyć towar taniej lub drożej niż zwykle, odprzedać go po cenie dawnej i w ten sposób otrzymać zysk większy lub mniejszy, niż należało.

Koszty, wyłożone na zakup narzędzi, materyałów surowych oraz siły roboczej, dają przemysłowcowi skalę najniższą, od której nie może on odstępować przy sprzedaży swego towaru. Wytwór „kupiony" za taką cenę, sprzedaje on na rynku drożej, przyczem otrzymana nadwyżka zależy od konjunktur rynkowych i obrotności przedsiębiorcy. Ale nie trzeba mniemać, aby przedsiębiorca, przychodząc na targ, nie miał jeszcze innej nici przewodniej. Wziął się on do interesu nie dlatego, ażeby wytwarzać potrzebne w kraju przedmioty, ale ponieważ pragnie z kapitału włożonego ciągnąć korzyści. Istnieje w społeczeństwie pewna ustalona stopa odsetków — bieżąca, taka, jaką u nas mają listy zastawne i pożyczki na pierwszym numerze hypoteki. Gdyby przemysłowiec otrzymał ze swego procederu mniejsze odsetki, aniżeli te, jakie dostałby lokując swój fundusz w papierach, wtedy nie opłaciłoby się samodzielnie obracać kapitałem. A zatem do kosztów towaru, czyli — trzymajmy się jego punktu widzenia — do ceny, za jaką nabył wytwór, dolicza odpowiednią nadwyżkę procentową.

Ale wyznaczając tę kwotę, wprowadza on do rachunku jeszcze nowe pierwiastki, obce duchowi wartości abstrakcyjnej, która, jak wiemy, jest kategoryą, odpowiadającą widnokręgom bezpośrednich wytwórców i istocie, nie zaś pozorom stosunków wymiennych.

Narzędzia i budynki, oraz inne części kapitału obrotowego, uwięzione na czas dłuższy, przenoszą tylko ułamkowo swoją wartość na produkty, wytwarzane w zakładzie, niekiedy przez lat wiele. Ale, swoją drogą, uczestniczą one szeroko w sprawie produkcyi i przedstawiają fundusz zaabsorbowany przez ów okres czasu i stracony dla innych celów. Przedsiębiorca bierze go także w rachubę: oblicza ogół kapitału, potrzebnego na prowadzenie interesu, znajduje odpowiadającą mu sumę odsetków i rozdziela ją na liczbę okazów wyrobionych. Powstaje w ten sposób nowa norma ceny: ustanowiona na zasadzie całości warunków produkcyjnych.

Słowem, przedsiębiorca nie ma i mieć nie może najmniejszego pojęcia o pracy, jako jedynej potędze wartościotwórczej, ani oblicza według niej wartości towaru. Skala taka jest tylko wtedy możliwa, gdy bezpośredni wytwórca, jak to było w okresie produkcyi rzemieślniczej, będzie wymieniał produkt, oraz posiada olbrzymie znaczenie teoretyczne—klucz to do odcyfrowania tajników życia ekonomicznego. Przemysłowiec ma tylko w swojem otoczeniu cenę kosztów i cenę, opartą na całości warunków produkcyjnych — nic więcej. I ekonomiści, którzy na podstawie widnokręgów „zdrowego rozsądku" mieszczańskiego pisali swoje prace, nie wychylają się po za jego poglądy i tak samo wyprowadzają nadwyżkę — odsetki — z warunków obiegu. Mgła dokoła nie pozwala im znaleźć wyjścia z tych manowców, tem bardziej, że nieraz braknie także dobrej woli wydobycia się na jaśnię.

*K. R. Ż.*

## W DALI.

**Lublin.** Według najświeższych danych urzędowych, w gubernii Lubelskiej roku 1895 było ogółem 590 zakładów naukowych, do których uczęszczało 28,330 osób, w tej liczbie: płci męskiej 20,840 i żeńskiej 7,490; z porównania tych danych z cyframi za rok 1894 okazuje się, że w roku sprawozdawczym liczba zakładów naukowych wzrosła o 6, liczba zaś uczących się o 907. W ogólnej liczbie zakładów naukowych były: instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa, dwa 8-mio klasowe gimnazya męskie, jedno 7-mio klasowe gimnazyum żeńskie, dwa męskie 4-ro klasowe progimnazya, jedno takież progimnazyum żeńskie, jedna szkoła 6-cio klasowa żeńska, 1 seminaryum nauczycielskie, 2 seminarya duchowne, 1 szkoła duchowna, 13 zakładów naukowych prywatnych, 10 szkół niedzielno-rzemieślniczych, 1 szkoła niedzielno-handlowa, 26 szkół cerkiewno-parafialnych, 14 szkółek 2-klasowych, 359 szkół początkowych jednoklasowych, 1 szkoła 2-klasowa żydowska, 49 kantoratów ewangelickich i 104 chedery żydowskie. Z porównania liczby zakładów naukowych i uczniów z ogólną ludnością gubernii okazuje się, że jeden zakład naukowy wypada na 1,954 mieszkańców gubernii, zaś jeden uczący się na 40 mieszkańców. w stosunku do ogólnej przestrzeni gubernii (295 mil kwadratowych), jeden zakład naukowy wypada na 24,5 wiorst kwadratowych. — *Gazeta Polska* donosi, iż istniejący w gmachu podominikańskim dom zarobkowy wraz z przytułkiem noclegowym i tanią kuchnią wkrótce przejdzie pod zarząd lubelskiego Towarzystwa dobroczynności. — *Gazeta Lubelska* pisze, iż z Najwyższego rozkazu budowaną jest z Lublina do Janowa próbna kolej żelazna wyłącznie siłami batalionów wojskowych. Kolej ta ma być ukończona w ciągu dwóch miesięcy. — W gub. Lubelskiej jest obecnie ludności 1,530,000, sam Lublin liczy 62,701 mieszkańców (2,994 prawosławnych, 20,698 katolików, 930 ewangelików i 23,554 Żydów).

**Piotrków.** Rozstrzygnięto sprawę bandy rabusiów, która swem okrucieństwem i zuchwalstwem przez długi czas gnębiła ludność na znacznej przestrzeni kraju. Dn. 2 czerwca ogłoszono wyrok, którego mocą skazani: 1) Bogusławski, pozbawiony wszystkich praw stanu, na lat 20 do robót ciężkich, przyczem wyrok wydany w pierwszej jego sprawie włączono do terminu kary; 2) Jeziorek na pozbawienie praw stanu i roboty ciężkie przez lat 20; 3) Sobański, 4) Jędrzejek, 5) Mosura na pozbawienie praw stanu i roboty ciężkie każdy na lat 15; 6) Walczyński, 7) Kostrzewa, 8) Łyszkoś, na pozbawienie praw stanu i roboty ciężkie każdy po lat 12; 9) Pieczara, 10) Synowski, 11) Wenge, na pozbawienie praw stanu i roboty ciężkie po 10 lat każdy; 12) Pawlak na pozbawienie praw stanu i 8 lat robót ciężkich; 13) Olczykowa i 14) Michał Jabłoński na pozbawienie praw stanu i osiedlenie w oddalonych miejscowościach Syberyi; 15) Kunicka na miesiąc więzienia; 16) Wyporski, 17) Gumółka, 18) Danielewska, 19) Zientek, 20) Piotr Bosak, 21) Katarzyna Bosak, 22) Franciszek Jabłoński, 23) Szteinic, 24) Słomnicki, 25) Szteinkeler, 26) Józef Cembrzyński, 27) Franciszka Cembrzyńska, 28) Szostek, 29) Nowak, 30) Dziedzic, 31) Drobnik i 32) Cho-

lewka — uniewinnieni. Wyrok w ostatecznej formie ogłoszony będzie d. 16-go czerwca r. b. Bogusławski i Jeziorek wyrok przyjęli spokojnie; uniewinnieni dziękowali sądowi.

**Mińsk.** Prace około osuszenia błot poleskich w dalszym ciągu będą r. b. przedsięwzięte na wielką skalę. Sieć nowych kanałów obejmie 213 wiorst długości na terytoryach prywatnych i skarbowych. Ilość wydobytej z nich ziemi wyniesie 62,582 sążnie sześcienne. Nadto postanowiono pogłębić i rozszerzyć mnóstwo kanałów dawniejszych (długości 1,280 wiorst) i oczyścić koryto rzek na przestrzeni 20 wiorst. Na nowych kanałach stanie 35 mostów. Istniejące na Polesiu trzy stacye meteorologiczne nie ustają w badaniach. W roku bieżącym uwaga przedewszystkiem będzie zwrócona na poziom wód w Prypeci, Pinie i ich dopływach. Będą również czynione badania gruntu i flory poleskiej dla ułożenia odpowiedniej mapy. Od chwili osuszenia wielkiej przestrzeni błot malarya zmniejszyła się, ale nie znikła. Jeszcze i dzisiaj jest to jedna z najuciążliwszych chorób miejscowych. Według danych stytystycznych, co rok zapada na nią w całej gubernii, głównie w powiatach południowych, 40 do 50 tysięcy osób. Procent śmiertelności stosunkowo jest niewielki, lecz uporczywa, długa choroba wyczerpuje siły i zmniejsza zdolność produkcyjną ogółu ludności. Statystyka także wykazuje, iż ta gubernia daje rocznie około 5,000 suchotników. R. 1894 ogólna liczba chorych epidemicznie wynosiła w gubernii 86,271, z których zmarło 4,520, czyli 5,24%. Najwięcej chorych jest w pow. Pińskim. Pomoc lekarska wogóle jest bardzo nędzna. Cała gubernia, według najświeższego wykazu, posiada 217 lekarzy, z których 62 przebywa w Mińsku, 76 w miastach większych i powiatowych, 79 na wsi. Ponieważ obszar gubernii wynosi około 1,100 mil kwadratowych, więc liczba ta w stosunku do przestrzeni jest nadzwyczaj mała, a pomoc ze względu na odległe punkty, nie może być ani pośpieszną, ani tanią. W Mińsku przypada jeden lekarz na 1,472 osoby, w miastach powiatowych i większych miasteczkach — jeden na 2,413, na wsi jeden na 21,251. Ztąd wniosek, że znaczna liczba mieszkańców wiejskich nie może nigdy liczyć na pomoc lekarską. Szpitale również nie odpowiadają potrzebom zdrowotnym. Cała gubernia posiada ich 48, z tego tylko 17 we wsiach. Zakłady te ogółem posiadają 1,257 łóżek. W ciągu r. 1894 korzystało z pomocy szpitalnej 13,890 osób.

**Petersburg.** Opracowano główne zarysy poparcia hodowli koni. Oto ważniejsze punkty: 1) wydawanie nagród pieniężnych hodowcom, których konie odpowiadają najbardziej wymaganiom ministeryum wojny; 2) zakup koni oficerskich z osobnym na ten cel kredytem; 3) wydawanie specyalnych nagród na wystawach za konie danego typu wojskowego, na wzór wydawanych przez ministeryum rolnictwa za konie robocze; 4) powiększenie sumy nagród na wyścigi dla koni oficerskich i żołnierskich z wydawaniem oddzielnych nagród hodowcom tych koni; 5) ułatwianie hodowcom nabywania klaczy remontowych; 6) ustanowienie w porozumieniu z towarzystwami wyścigów oddzielnych wyścigów dla koni półkrwi. — *Pet. wied.* donoszą, że oprócz nowej gubernii Elizawetgradzkiej ma być utworzona Nadazowska z siedliskiem władz w mieście Marjupolu, a z części gubernii Podolskiej utworzy się gubernia z siedliskiem władzy w mieście Winnicy.

## DONIESIENIA URZĘDOWE

### Katastrofa w Moskwie.

Ogłoszono komunikat urzędowy następującej treści:

„Od wieczora 29-go maja w Moskwie dokoła pola Chodyńskiego zaczęły się gromadzić masy ludności miejskiej i przybyłej, sięgające kilkakroć stutysięcy dla wzięcia udziału w zabawie 30-go maja. Początek zabawy i rozdawania podarunków był naznaczony na godz. 10-tą rano, lecz tłum, nie doczekawszy się tej godziny i przybycia wszystkich osób, mających kierować zabawą, z niepowstrzymaną siłą, wcześniej niż o godz. 6-ej zrana, rzucił się bezładnie w wązkie przejścia między drewnianymi namiotami, gdzie mieściły się bufety, przyczem wielu zostało powalonych na ziemię i zduszonych przez napierający tłum. Bezładny ruch tłumu trwał niedługo, poczem natychmiast przedsięwzięto środki dla dania pomocy poszwankowanym i wyjaśnienia liczby ofiar. Podniesiono ciał nieżywych 979 i ciężko poranionych 459 osób. Z tych ostatnich wiele znajduje się w stanie niebezpiecznym. Poszkodowanym udzielono pomocy lekarskiej, a nadto z Najwyższego Rozkazu udzielone im będzie wsparcie. Niezależnie od tego Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Panu podobało się rozkazać wydać po 1,000 rs. na każdą osieroconą rodzinę i pokryć wydatki na pochowanie zabitych."

Według późniejszych obliczeń, zginęło osób 1,282. Przewieziono je na cmentarz Wagankowski, gdzie krewni i znajomi odszukują swych bliskich, rozpoznają tylko po ubraniu i innych przedmiotach, twarze bowiem są zupełnie zmiażdżone.

Urzędowe depesze podają jeszcze następujące szczegóły:

„Zgromadzony lud o świcie zaczął się posuwać ku szeregowi bufetów z poczęstunkiem od strony hippodromu wyścigowego. Na 30 sążni przed bufetami jest głęboki dół, mający 10 sążni szerokości. Dążąc naprzód z zapędem, tłum spychał przednie szeregi osób. Do wądołu wpadły nie dziesiątki, ale setki ludzi. Wkrótce rów ten w części bliższej szosy petersburskiej był prawie zapełniony. Wszystko to się stało w przeciągu minut 15. W tak krótkim czasie zginęło przeszło 1,000 ludzi. Reszta, popychana od tyłu przez setki tysięcy osób, pędziła gwałtowną falą ku bufetom, gdzie się zaczęło rozdawanie poczęstunków i czarek Koronacyjnych. Nikt nie zważał, czy idzie po ziemi, czy po ciałach ludzkich. Przy bufetach powstał taki natłok, że literalnie niepodobna było oddychać. Tłum, dostawszy się do poczęstunków, zaczął wyrzucać po za siebie paczki i czarki. To jeszcze pogorszyło ścisk. Tłum, wytrzeźwiony widokiem sztrasźliwym, zaczął ze łzami i zawodzeniem wydobywać zwłoki."

Według sprawozdawcy *Ruskich. Wied.*, pochowano 1,800 ofiar katastrofy na polu Chodyńskiem.

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** W pierwszym dniu ogłoszenia Najwyższego Manifestu, z więzień w Moskwie wypuszczono 276 osób. W Warszawie, po skróceniu terminu kary o ⅓ i $^{2}/_{11}$, uwolniono z więzienia głównego 143, z tymczasowego oddziału tego więzienia 131, z więzienia śledczego 28 i z więzienia dla kobiet 61 osób. Razem z ogólnej liczby więźniów warszawskich 1,100 uwolniono 363.

**Szkoły.** Kurator okręgu naukowego warszawskiego na zasadzie art. 24 przepisów o egzaminach uczniów gimnazyów i progimnazyów, zatwierdzonych przez ministra oświaty d. 12 marca 1891, pozwolił na dopuszczenie w roku bieżącym po wakacyach do egzaminów uczniów czterech niższych klas, bez względu na ilość stopni niedostatecznych. Jednocześnie kurator wystąpił do ministra oświaty publicznej z przedstawieniem o pozwolenie egzaminowania po wakacyach uczniów trzech wyższych klas, którzy otrzymali stopnie niedostateczne (2) z dwu przedmiotów. Dyrektorom gimnazyów polecono uprzedzić uczniów o tem, ażeby młodzież mogła zawczasu przystąpić do przygotowania się odpowiedniego.

— W r. b. do Instytutu historyczno-filologicznego nie będą przyjmowani kandydaci, mający stopnie niższe od 4 w świadectwach dojrzałości.

— Niedawno sprowadzono z Europy do uniwersytetu wędrownego w Chicago profesorów: Siemiradzkiego (b. profesora uniwersytetu kazańskiego) i Kurcyusza (z uniwersytetu genewskiego), którzy wykładają w godzinach wieczornych, od 7-ej do 9-ej: pierwszy historyę, drugi zaś o budowie ciała ludzkiego. Pani Kodis, doktorka filozofii, wykłada filozofię wychowania dzieci, profesor a zarazem redaktor gazety *Dziennik*, p. Ign. Machnikowski, wykłada astronomię, arytmetykę i literaturę. Wykłady odbywają się codziennie, oprócz niedziel: wstęp wynosi tylko 5 centów za wieczór. „Uniwersytet wędrowny" po sześciu miesiącach pobytu w Chicago, przeniesiony będzie do innych miast gdzie ludność polska jest liczną: do Milwaukee, Cleveland, Detroit, Bay City, Stevenspoint itp.

**Wystawy i zjazdy.** Z polecenia departamentu handlu i rękodzieł redakcyom pism, zamierzającym wysłać korespondentów na wystawę w Niższym Nowogrodzie, będą wydane bilety bezpłatne tam i z powrotem. (*Peterb. Wied.*).

— Wystawę w Niższym Nowogrodzie d. 9 czerwca otworzy minister skarbu.

— W Berlinie zwołano kongres chirurgiczny.

**Koleje i komunikacye.** Upoważniono naczelników okręgów komunikacyjnych do urządzania egzaminów na stopień technika komunikacyjnego. Potrzeba ta wynikła stąd, że przy budowie kolei często daje się odczuwać brak specyalistów do robót drugorzędnych.

**Sądy.** W warszawskim sądzie okręgowym rozstrzygnięto sprawę, wynikłą z akcyi cywilnej prokuratoryi o wydanie legatów w sumie rs. 4,500, zapisanych na instytucye dobroczynne przez Annę Zaleską, mianowicie: rs. 1,000 na szpital dziecięcy w Warszawie, rs. 1,000 na rzecz Towarzystwa dobroczynności, rs. 1,000 na korzyść przytułku dla paralityków w Warszawie i rs. 1,000 na fundusz stypendyalny w Warszawie, prócz tego rs. 500 na korzyść kościoła powązkowskiego. Głównemi wykonawczyniami testamentu były wdowy Helena Jankowska i Aniela Lisowska. Ponieważ nie chciały one dobrowolnie płacić legatów dobroczynnych, prokuratorya wystąpiła do sądu w imieniu rady opiekuńczej warszawskiej, kuratora okręgu naukowego i magistratu m. Warszawy o wydanie powyższych zapisów. Sąd okręgowy ogłosił wyrok, zobowiązujący wykonawczynie do wydania powyższych zapisów wraz z 6% i kosztami sądowymi.

— *Peterb. Wied.* donoszą, iż do uznania ministeryum sprawiedliwości złożono projekt, na którego zasadzie wszystkie ekspertyzy chemiczno-mikroskopijne, przesyłane obecnie czasami do urzędów lekarskich, powierzane byłyby wyłącznie uniwersytetom, gdzie niemi zajmowaliby się profesorowie medycyny sądowej oraz studenci. Rozporządzenie to ma na celu ulepszenie w ogólności ekspertyzy sądowej.

**Konkursy.** Wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu warszawskiego ogłosił konkurs na r. 1896—98 z zapisu Adama Chojnackiego na temat następujący: „Napisać albo jedną powieść, przedstawiającą w formie przystępnej dla ludu prostego etyczny ideał włościanina, we wszystkich stosunkach życiowych, albo szereg nauczających opowiadań, ujawniających szczegółowe rysy tego ideału." Termin nadsyłania prac 12 maja 1898. Prace, przedstawione być winny w języku rosyjskim. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku rosyjskim lub przekładzie polskim pozostawia się do uznania autora. Nagroda wynosi rs. 900.

— Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze ogłasza nowy konkurs na napisanie zwięzłego podręcznika dla włościan o uprawie warzywa. Nagroda rs. 100. Towarzystwo zastrzega prawo druku 3,000 egzemplarzy. Prace nadsyłać można do 1 kwietnia 1897 r.

**Zdrowie publiczne.** Zalecono ścisłe i częste rewizye bufetów i kuchni stacyjnych na kolejach żelaznych.

**Wypadki.** W Antwerpii cyrk runął. Dwadzieścia osób ranionych.

**Zmarli.** Aleksander Scheller, w Warszawie, dentysta. Napisał: „Znieczulenie (anaesthesia) za pomocą tlenku azotu," drukowane w *Gaz. lekarskiej* z r. 1869; „Jakie są powody szerzących się coraz bardziej cierpień zębów," 1869 r.; „Zęby, sposób unikania i leczenia ich cierpień." 1877; „Chlorek etylu, nowy środek do znieczulań miejscowych," drukowane w *Gaz. lekarskiej* z r. 1891. Nadto zasilał swoimi artykułami i zagraniczne pisma specyalne, niemieckie. Przełożył popularne dziełko dr. Süersena: „Poradnik pielęgnowania zębów i ust."

Redaktor i wydawca dr. **Al. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Мая 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.